

# STENDHAL

ŻYCIE

HENRYKA

BRULARD

**Stendhal**  
**Życie Henryka Brulard**

*[http://www.litres.ru/pages/biblio\\_book/?art=55700430](http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=55700430)*

*Życie Henryka Brulard:*

**Аннотация**

Ciesz się klasyką! Miłego czytania!

# Содержание

Rozdział I	4
Rozdział II	16
Rozdział III	30
Rozdział IV	39
Rozdział V	46
Rozdział VI	64
Rozdział VII	68
Rozdział VIII	78
Rozdział IX	89
Rozdział X	103
Конец ознакомительного фрагмента.	111

# Życie Henryka Brulard

## Rozdział I

Znalazłem się dziś rano, 16 października 1832, w San Pietro in Montorio, na wzgórzu Janiculum w Rzymie. Słońce świeciło wspaniale; lekkie, zaledwie wyczuwalne sirocco gnało parę błękitnych chmurków nad górą Albano; rozkoszne ciepło w powietrzu, czułem się szczęśliwy, że żyję. Rozróżniałem doskonale Frascati i Castel Gandolfo leżące o cztery mile, willę Aldobrandini, w której znajduje się cudowny fresk *Judyta* Dominikina. Widzę doskonale biały mur, znaczący naprawy dokonane świeżo przez księcia F[ranciszka] Borghese, tego, którego widziałem pod Wagram jako pułkownika kirasjerów w dniu, w którym panu de Noue, memu przyjacielowi, kula urwała nogę. O wiele dalej widzę skałę Palestrina i biały domek Castel San Pietro, który niegdyś był fortecą. Poniżej muru, o który się wspieram, są wielkie pomarańcze w sadzie kapucynów, potem Tyber i opactwo maltańskie; nieco dalej, po prawej, grobowiec Cecylii Metelli, Św. Paweł i piramida Cestiusza. Na wprost widzę Santa Maria Maggiore i długie linie pałacu Monte Cavallo. Cały dawny i nowy Rzym, od starożytnej via Appia z ruinami jej grobowców i wodociągów aż do wspaniałego ogrodu Pincio

zbudowanego przez Francuzów, roztacza się przed oczyma.

Oto miejsce jedyne w świecie, powiadałem sobie rozmarzony; starożytny Rzym mimo mej woli przesłaniał nowy, wszystkie wspomnienia z Tytusa Liwiusza tłoczyły się hurmem. Na górze Albano, po lewej od klasztoru, widziałem pola Hannibala.

Cóż za wspaniały widok! Więc to tutaj podziwiano przez półtrzecia wieku *Przemienienie* Rafaela. Cóż za różnica ze smutną galerią z szarego marmuru, gdzie je dziś zagrzebano w Watykanie! Zatem przez dwieście pięćdziesiąt lat, to arcydzieło było tutaj dwieście pięćdziesiąt lat!... Och, za trzy miesiące będę miał pięćdziesiąt lat, czy to możliwe! 1783, 93, 1803, znam cały rachunek na palcach... i 1833 – pięćdziesiąt. Czy to możliwe! Pięćdziesiąt! Będę miał pięćdziesiątkę... I zanuciłem Grétry'ego:

Gdy pięćdziesiątka zbliża się...

To niespodziane odkrycie nie zmartwiło mnie; myślałem dopiero co o Hannibalu i o Rzymianach. Więksi ode mnie pomarli!... Ostatecznie, powiadałem sobie, nieźle zapełniłem swoje życie, *zapełniłem je!* Ba! to znaczy, że przypadek nie zwałił na mnie zbyt dużo nieszczęść, bo w istocie czyż ja jakiegokolwiek mierze kierowałem swoim życiem?

Zakochać się w takiej pannie von Griesheim! Czego mogłem się spodziewać od panny dobrze urodzonej, córki generała będącego w łaskach dwa miesiące wprzód, przed bitwą pod Jeną?

Brichard miał diabelską słuszość, kiedy mi mówił ze swoją zwykłą złośliwością: „Kiedy się kocha w kobiecie, trzeba sobie powiedzieć: czego ja chcę od niej?”.

Usiadłem na stopniach San Pietro i dumałem tam z godzinę lub dwie nad tą myślą: jestem w przededniu pięćdziesiątki, byłby czas znać samego siebie. Czym byłem, czym jestem? Doprawdy, byłbym w kłopotcie, co odpowiedzieć.

Uchodzę za człowieka bardzo inteligentnego, bardzo oschłego, zepsutego nawet, a widzę, że stale pochłaniała mnie jakaś nieszczęśliwa miłość. Kochałem szalenie pannę Kubly, pannę von Griesheim, panią Diphortz, Metyldę – i nie miałem żadnej z nich, i niejedna z tych miłości trwała po kilka lat. Metylda wypełniła szczelnie moje życie od 1818 do 1824. I nie jestem jeszcze wyleczony, dodałem, poświęciwszy marzeniu o niej dobry kwadrans. Czy ona mnie kochała?

Byłem roztkliwiony, rozmodlony, w ekstazie. A Menti, w jakiejż rozpacz pogrążyła mnie, kiedy mnie rzuciła! Tu uczułem dreszcz na wspomnienie 15 września 1826 r. w San Remo, po moim powrocie z Anglii. Co za rok spędziłem od 15 września 1826 do 15 września 1827! W dniu tej straszliwej rocznicy byłem na 5 wyspie Ischia. I uczułem wybitne polepszenie: zamiast myśleć o moim nieszczęściu wprost, jak kilka miesięcy wprzód, zachowałem jedynie *wspomnienie* nieszczęśliwego stanu, w jakim byłem pogrążony na przykład w październiku 1826 r. To spostrzeżenie pocieszyło mnie znacznie.

Czymże ja byłem? Nie dowiem się tego. Jakiegoż przyjaciela,

choćby najinteligentniejszego, mogę o to spytać? Sam pan di Fiori nie mógłby mi na to odpowiedzieć. Któremuż z przyjaciół wspomniałem kiedy słowo o moich zgryzotach miłosnych?

A co jest osobliwe i bardzo nieszczęśliwe, powiadałem sobie dziś rano, to że moje zwycięstwa (jak je nazywałem wówczas, z głową nabitą sprawami wojskowymi) nie dały mi ani połowy przyjemności równej cierpieniu, jakie mi sprawiały moje niepowodzenia.

Zdumiewające zwycięstwo nad tą Menti nie dało mi przyjemności dającej się bodaj w setnej części porównać z bólem, jaki mi zadała, rzucając mnie dla pana de Rospic.

Czyżbym ja miał tak smutne usposobienie?

...I oto, nie wiedząc, co odpowiedzieć, znów zacząłem bezwiednie podziwiać cudowny widok ruin Rzymu i jego nowoczesnej wspaniałości: Koloseum na wprost mnie, a pod moimi stopami pałac Farnese wraz z łukami jego pięknej galerii Karola Maderno, i pałac Corsini pod moimi stopami.

Czy ja byłem człowiekiem inteligentnym? Czy miałem talent do czego? Pan Daru powiadał, że byłem ciemny jak tabaka w rogu, tak, ale to Besan[çon] powtórzył mi to, a wesołość mego usposobienia przyprawiała o zazdrość tego markotnego generalnego sekretarza. Ale czy ja miałem usposobienie wesołe?

Zeszedłem wreszcie z Janiculum aż wówczas, kiedy lekka mgła wieczorna ostrzegła mnie, że niebawem przejmie mnie nagły, bardzo przykry i niezdrowy chłód, który w tych stronach następuje natychmiast po zachodzie słońca. Czym

prędzej wróciłem do Palazzo Conti (Piazza Minerva), byłem zmęczony. Byłem w spodniach z białej angielskiej flaneli; napisałem na pasku, wewnątrz: „16 października 1832 będę miał pięćdziesiątkę”, tak skrócone, aby nikt nie zrozumiał: „B. miał 5”..

Wieczorem, wracając dosyć wynudzony z wieczoru u ambasadora, powiedziałem sobie: „Powinien bym spisać moje życie, dowiem się może, kiedy to skończę, za dwa albo trzy lata, czym byłem, wesoły czy smutny, rozumny czy głupiec, dzielny czy tchórz, i wreszcie, w sumie, szczęśliwy czy nieszczęśliwy; będę mógł przeczytać ten rękopis panu di Fiori”.

Ta myśl spodobała mi się. Tak, ale ta straszliwa obfitość „ja” i „mnie”! Jest czym zepsuć humor najżyczliwszemu czytelnikowi. „Ja” i „mnie” to byłoby – poza różnicą talentu – coś jak pan de Chateaubriand, ten król *egotystów*.

„Ja” i „mnie” ciągle to istna choroba<sup>1</sup>...

Powtarzam sobie ten wiersz za każdym razem, ilekroć czytam którą z jego stronic.

Można by pisać, to prawda, posługując się trzecią osobą: *on* zrobił, *on* powiedział; tak, ale jak oddać wewnętrzne drgnienia duszy? O to zwłaszcza chciałbym się poradzić pana di Fiori.

Wracam do tego aż 23 listopada 1835 r. Ta sama myśl napisania *my life*<sup>2</sup> naszła mnie świeżo w czasie mojej podróży do

---

<sup>1</sup> „Ja” i „mnie” ciągle to istna choroba – parodia wiersza z *Uczonych białogłów* Moliera (akt II, sc. 6). [przypis autorski]

<sup>2</sup> *my life* – mego życia. [przypis redakcyjny]

Rawenny; po prawdzie miałem ją wiele razy od 1832, ale zawsze mnie zniechęcała straszliwa trudność owych „ja” i „mnie”, które muszą obrzydzić autora; nie czuję w sobie dość talentu, aby jej uniknąć. Prawdę mówiąc, nie jestem zgoła pewny, czy mam talent po temu, aby być czytany. Znajduję niekiedy przyjemność w tym, aby pisać, oto wszystko<sup>3</sup>.

---

<sup>3</sup> *Ta sama myśl napisania (...) – Na marginesie:* Zamiast tej całej gadaniny może wystarczy, co następuje: Brulard (Maria Henryk) urodził się w Grenoble w 1783, w dobrej mieszczańskiej rodzinie z pretensjami do szlachectwa; w dziewięć lat później, w 1792, nie było dumniejszych od nich arystokratów. B. od wczesnego dzieciństwa patrzył na złośliwość i hipokryzję pewnych ludzi, stąd instynktowna nienawiść do religii. Jego dzieciństwo było szczęśliwe do śmierci matki, którą stracił mając siedem lat, później księża zmienili je w piekło. Żeby się z niego wydobyć, studiował z entuzjazmem matematykę i w 1797 czy 98 uzyskał pierwszą lokatę, podczas gdy pięciu uczniów przyjętych w miesiąc później do Szkoły Politechnicznej miało tylko drugą. Przybył do Paryża nazajutrz po 18 brumaire'a (9 listopada 1799), ale ani myślał poddać się egzaminowi do Szkoły Politechnicznej. Wyruszył na ochotnika z armią rezerwową i dotarł na przełęcz Św. Bernarda w dwa dni po Pierwszym Konsulu. Kiedy się znalazł w Mediolanie, pan Daru, jego krewniak, wówczas inspektor rewii przy armii, przydzielił go w randze kwatermistrza, a potem podporucznika do szóstego pułku dragonów, którego pułkownikiem był pan Le Baron, jego przyjaciel. W swoim pułku B., który miał 150 franków miesięcznej pensji i uważał się za bogatego (miał siedemnaście lat), został nie najlepiej przyjęty: zazdrośczone mu; mimo to otrzymał dobre świadectwo z Rady Administracji. W rok później został adiutantem dzielnego generała, porucznika Michaud, brał udział w bitwie nad Mincio, gdzie przeciwnikiem był generał Bellegarde, poznał głupotę generała Brune, stał garnizonem w uroczym Brescia i Bergamo. Zmuszony opuścić generała Michaud, gdyż pełnienie funkcji adiutanta wymagało co najmniej stopnia porucznika, dogonił szósty pułk dragonów w Alba i Savigliano w Piemontcie. W Saluzzo był umierający, czternaście razy puszczono mu krew; miał tam śmieszłą przygodę z wielką damą. Zbrzydziwszy sobie towarzyszy, wojaków, B. przybył do Grenoble i zakochał się w pannie Wiktorynie M[ounier]; korzystając z krótkiego pokoju, podał się do dymisji i wyjechał do Paryża,

Jeżeli istnieje tamten świat, nie omieszkałam odwiedzić Monteskiusza; jeśli mi powie: „Mój dobry przyjacielu, nie masz ani odrobiny talentu”, będę zmartwiony, ale bynajmniej nie zdziwiony. Czuję to często, któreż oko może widzieć samo siebie? Nie ma jeszcze trzech lat, jak odkryłem rację tego.

Widzę jasno, że różni pisarze, którzy cieszą się wielką sławą, są okropni. To, co byłoby bluźnierstwem powiedzieć dziś o panu de Chateaubriand (rodzaj Balzaca<sup>4</sup>), będzie *truizmem* w r. 1880. Nigdy nie zmieniłem zdania co do tego Balzaca: kiedy w roku 1803 ukazał się *Duch chrześcijaństwa*, wydał mi się śmieszny. Ale czuć czyjeś wady – czy to znaczy mieć talent? Widzę, jak najgorsi malarze spostrzegają doskonale wzajem swoje wady: pan Ingres ma zupełną słuszność w sądach o panu Gros, pan Gros o panu Ingres (wybieram tych, o których będzie się może jeszcze mówiło (w roku 1935)).

Oto rozumowanie, które mnie uspokoiło co do tych pamiętników. Przypuśćmy, że będę ciągnął dalej ten rękopis i że, raz napisawszy, nie spalę go; zapiszę go nie przyjacielowi, który mógłby zostać bigotem lub sprzedać się partii, jak ten młody dudek Tomasz Moore, zapiszę go księgarzowi, na przykład panu

---

gdzie spędził samotnie dwa lata na lekturze *Listów perskich* Montaigne'a, Cabanisa, Tracy'ego; co wówczas uważał za zabawę, w rzeczywistości było dopełnieniem edukacji. [W dalszej części zostały uwzględnione tylko najważniejsze z marginaliów; red. WL] [przypis autorski]

<sup>4</sup> rodzaj Balzaca – mowa oczywiście nie o autorze *Komedii ludzkiej*, ale o Guez de Balzac, pisarzu z XVII wieku, z którego napuszonym stylem Stendhal porównywał Chateaubrianda. [przypis tłumacza]

Levavasseur (plac Vendôme, Paryż).

Zatem księgarz otrzyma po mojej śmierci oprawny, gruby tom tego okropnego pisma. Każe przepisać kawałek i odczyta go: jeśli rzecz wyda mu się nudna, jeżeli nikt nie będzie już mówił o panu de Stendhal, rzuci w kąten ten rupieć, który odnajdą może w dwieście lat później, jak pamiętniki Benvenuto Cellini.

Jeśli go wyda, a rzecz okaże się nudna, będą o niej mówili po trzydziestu latach tak, jak dziś się mówi o poemacie o *Żegludze* tego szpiega d'Esménard, o którym tak często była mowa na śniadaniach pana Daru w r. 1802. I jeszcze ten szpieg był, jak sądzę, cenzorem czy redaktorem wszystkich dzienników, które go „puffowały” (od: *to puff*<sup>5</sup>) wściekle co tydzień. To był Salvandy owych czasów, jeszcze bezwstydniejszy, jeśli możliwe, ale bogatszy w *pomysły*.

„Wyznania” moje nie będą tedy istniały w trzydziści lat po ich wydrukowaniu, jeżeli wszystkie „ja” i „mnie” zanadto zmęczą czytelników; bądź co bądź będę miał przyjemność spisywania ich i zrobienia gruntownego rachunku sumienia. Co więcej, jeżeli przyjdzie powodzenie, będę miał szansę, że w roku 1900 będą mnie czytały pokrewne dusze, nowe panie Roland, Melanie Guilbert, nowe...

Na przykład dziś, 24 listopada 1835 r., wracam z Kaplicy Sykstyńskiej, gdzie nie doznałem żadnej przyjemności, mimo że opatrzony dobrą lunetą, aby oglądać sklepienie i *Sąd ostateczny* Michała Anioła; ale nadużycie kawy przedwczoraj

---

<sup>5</sup> *puff* (ang.) – przesadnie wychwalać. [przypis redakcyjny]

u Caetanich z winy maszynki, którą Michel Angelo przywiózł z Londynu, przypawiło mnie o newralgię. Maszynka zbyt doskonała. Ta zbyt dobra kawa, weksel wystawiony na rachunek przyszłego szczęścia, a na rzecz obecnej chwili, wróciła mi dawną newralgię; byłem w Kaplicy Sykstyńskiej jak baran, *id est* bez przyjemności, wyobraźnia nie mogła działać ani na chwilę. Podziwiałem brokatową draperię wymalowaną *al fresco* obok tronu, to znaczy wielkiego orzechowego fotela papieskiego. Draperii tej, która nosiła imię Sykstusa IV, papieża (*Sixtus IIII, Papa*), można dotknąć ręką, jest o dwie stopy od oka, które mam po trzystu pięćdziesięciu czterech latach.

Niezdolny do niczego, nawet do pisania urzędowych listów, kazałem zapalić na kominku i piszę to, mam nadzieję, bez kłamstwa, bez złudzeń, z przyjemnością, jak list do przyjaciela. Jakie będą pojęcia tego przyjaciela w roku 1880? Jak różne od naszych! Dziś te dwie myśli: *największy drab ze wszystkich Kings i obłudny Tatar*<sup>6</sup>, w odniesieniu do dwóch imion, których nie śmiem napisać, to dla trzech czwartych z moich znajomych straszliwa nieostrożność, potworność; w roku 1880 sądy te będą *truizmem*, którego nawet ówczesni panowie Kératry nie będą śmieli powtarzać. To jest dla mnie nowość: mówić do ludzi, których sposobu myślenia, rodzaju wychowania, przesądów, religii absolutnie nie znam! Co za zachęta do tego, aby być *szczerym*, po prostu *szczerym*, to jedno jest coś warte.

---

<sup>6</sup> *największy drab ze wszystkich Kings i obłudny Tatar* – Ludwik Filip i car Mikołaj I. [przypis redakcyjny]

Benvenuto był *szczery* i czyta się go z przyjemnością, jakby był pisany wczoraj, podczas gdy przewraca się kartki tego jezuitę Marmontela, który wszakże dokłada wszystkich starań, aby niczym nie urazić, jak prawdziwy Akademik. Nie chciałem w Livorno kupić jego pamiętników po franku za tom, ja, który ubóstwiam tego rodzaju lekturę.

Ale ile trzeba ostrożności, aby nie kłamać!

Na przykład na początku pierwszego rozdziału jest coś, co może zdawać się przechwałką: nie, czytelniku, nie byłem żołnierzem pod Wagram w 1809.

Trzeba ci wiedzieć, że czterdzieści pięć lat przed tobą było w modzie być eks-żołnierzem Napoleona. Jest to więc dziś, w roku 1835, kłamstwo zupełnie godne zapisania: dać do zrozumienia pośrednio i bez absolutnego kłamstwa (*jesuitico more*<sup>7</sup>), że się było żołnierzem pod Wagram.

Fakt jest, że byłem kwatermistrzem i podporucznikiem w szóstym pułku dragonów za przybyciem tego pułku do Włoch, w maju 1800, jak sądzę, i że wzięłem dymisję w czasie krótkiego pokoju w 1803. Dali mi się we znaki moi koledzy; nic nie zdawało mi się miłsze niż żyć w Paryżu jak *filozof* (to było słowo, którym posługiwałem się wówczas z samym sobą) za 150 franków miesięcznie, jakie dostawałem od ojca. Przypuszczam, że po jego śmierci będę miał dwa albo cztery razy tyle; przy żądzy wiedzy, jaka mnie pożerała wówczas, to było aż nadto.

---

<sup>7</sup> *jesuitico more* – na sposób jezuicki. [przypis redakcyjny]

Nie zostałem pułkownikiem, jak byłbym został przy potężnej protekcji hrabiego Daru, mego krewniaka, ale byłem, jak sądzę, o wiele szczęśliwszy. Niebawem przestałem myśleć o tym, aby studiować Turenusza i naśladować go, która to myśl była moim stałym celem przez trzy lata służby w dragonach. Czasami myśl tę spędzała druga: pisać komedie jak Moliere i żyć z aktorką. Miałem już wówczas śmiertelny wstręt do „uczciwych” kobiet i do ich nieodzownej obłudy. Moje straszliwe lenistwo przeważyło; znalazłszy się w Paryżu, spędziłem pół roku, nie składając wizyt mojej rodzinie (państwu Daru, pani Le Brun, państwu de Baure), wciąż powiadałem sobie „jutro”; tak spędziłem dwa lata, na piątym piętrze przy ulicy d'Angivilliers, z pięknym widokiem na kolumnadę Luwru, czytając La Bruyère'a, Montaigne'a i Jana Jakuba Rousseau, którego napuszeność zraziła mnie niebawem. Tam urobił się mój charakter. Czytałem też dużo tragedii Alfieriego, siląc się znaleźć w nich przyjemność, czyłem Cabanisa, Tracy'ego i J. B. Saja; czytałem często Cabanisa, którego mętny styl przywodził mnie do rozpacz. Żyłem samotny i nieprzytomny jak Hiszpan, o tysiąc mil od rzeczywistego życia. Zaczny ojciec Jeki, Irlandczyk, dawał mi lekcje angielskiego, ale nie robiłem żadnych postępów; byłem zwariowany na punkcie *Hamleta*.

Ale schodzę na manowce, gubię się; stanę się niezrozumiały, jeżeli się nie będę trzymał chronologii; zresztą nie przypomnę sobie tak dobrze wszystkich okoliczności.

Zatem pod Wagram w 1809 nie byłem żołnierzem, ale,

przeciwnie, zastępcą komisarza wojennego – stanowisko, które wyrobił mi mój kuzyn Daru, „aby mnie wyrwać z błota”, mówiąc stylem mojej rodziny. Bo moja samotność przy ulicy d'Angivilliers skończyła się na tym, że przeżyłem rok w Marsylii z uroczą aktorką, istotą najszlachetniejszą w świecie, której nigdy nie dałem ani grosza. Przede wszystkim z arcyważnego powodu, że ojciec dawał mi wciąż tylko 150 franków, z których trzeba było żyć; w dodatku pensję tę otrzymywałem w Marsylii w roku 1805 bardzo nieregularnie.

Ale znowu się gubię. W październiku 1806 r., po Jenie, byłem zastępcą komisarza wojennego – posada nienawistna żołnierzom; w roku 1810, 3 sierpnia, audytorem w Radzie Stanu, w kilka dni potem generalnym inspektorem ruchomości Korony. Byłem w łaskach, nie samego pana (Napoleon nie gadał do wariatów w moim rodzaju), ale bardzo dobrze widziany u najlepszego z ludzi, księcia de Frioul (Duroc). Ale znów się gubię.

## Rozdział II

Upadłem z Napoleonem w kwietniu 1814 r. Udałem się do Włoch, aby tam żyć tak jak przy ulicy d'Angivilliers. W 1821 opuściłem Mediolan z rozpaczą w duszy z przyczyny Metyldy, silnie myśląc o strzeleniu sobie w łeb. Zrazu wszystko mnie nudziło w Paryżu; potem zacząłem pisać, aby się rozerwać; Metylda umarła, nie było celu wracać do Mediolanu. Stałem się zupełnie szczęśliwy, to może za wiele powiedziane, ale ostatecznie znośnie szczęśliwy w 1830, kiedy pisałem *Czerwone i czarne*.

Byłem uszczęśliwiony z dni lipcowych, słyszałem kule dzwoniące o kolumny Komedii Francuskiej z małym niebezpieczeństwem dla mnie. Nie zapomnę nigdy tego pięknego słońca i widoku pierwszego trójbarwnego sztandaru, dwudziestego dziewiątego czy trzydziestego koła ósmej, po spędzeniu nocy u senatora Pinto, którego siostrzenica się bała. 25 września mianowano mnie konsulem w Trieście, dzięki panu Molé, którego nigdy nie widziałem na oczy. Z Triestu przybyłem w 1831 do Civitavecchia i do Rzymu, gdzie jestem jeszcze i gdzie się nudzę z braku wymiany myśli. Potrzeba mi od czasu do czasu wieczorem rozmowy z inteligentnymi ludźmi, inaczej czuję się jak zaczadzony.

Oto więc główne rozdziały mego opowiadania: urodzony w 1783, dragon w 1800, student od 1803 do 1806. W 1806

zastępca komisarza wojennego, intendent w Brunszwiku. W 1809 zbieram rannych pod Essling czy pod Wagram, pełnię misję nad Dunajem na brzegach pokrytych śniegiem, pod Linzem i Pasawą, zakochany w hrabinie Petit; aby ją zobaczyć, proszę o wysłanie do Hiszpanii. 3 sierpnia 1810 mianowany przez nią (prawie) audytorem w Radzie Stanu. To życie wysokich faworów i wielkich wydatków prowadzi mnie pod Moskwę, czyni mnie intendentem w Żaganiu na Śląsku, w końcu – upadek w 1815, w kwietniu. Kto by uwierzył, co się mnie tyczy osobiście, upadek ten sprawił mi przyjemność!

Po upadku student, pisarz, oszalały miłością, drukujący *Historię malarstwa we Włoszech* w 1817; ojciec mój, który zrobił się klerykałem, zrujnowany umiera w 1819, o ile mi się zdaje; wracam do Paryża w czerwcu 1821. Jestem w rozpaczce z przyczyny Metyldy; umiera – wolałem, żeby umarła, niż żeby mi była niewierna; piszę, pocieszam się, jestem szczęśliwy. W 1830 we wrześniu powracam do służby państwowej, w której jestem jeszcze, żałując życia pisarza na trzecim piętrze w hoteliku de Valois, przy ulicy Richelieu 71.

Był ze mnie świetny *causeur* od zimy 1826, przedtem milczałem przez lenistwo. Uchodzę, jak mniemam, za człowieka najweselszego i najzimniejszego pod słońcem; prawda, że nigdy nie mówiłem ani słowa o kobietach, które kochałem. Mam pod tym względem wszystkie cechy natury melancholicznej, opisanej przez Cabanisa. Miałem bardzo mało sukcesów.

Ale któregoś dnia, dumając nad życiem na ustronnej drodze

nad jeziorem Albano, spostrzegłem, że życie moje można by streścić tymi oto imionami, których inicjały pisałem w kurzu – jak Zadig – łaską, siedząc na ławeczce za stacjami kalwaryjskimi Minori Osservanti, zbudowanego przez brata Urbana VIII, Barberiniego, obok tych dwóch pięknych drzew okolonych murem:

Wirginia (Kubly),

Angela (Pietragrua),

Adela (Rebuffel),

Melania (Guilbert),

Mina (von Griesheim)

Aleksandra (Petit),

Angelina, której nigdy nie kochałem (Bereyter),

Angela (Pietragrua)

Metylda (Dembowska)

Klementyna

Giulia

I wreszcie, najwyżej przez miesiąc, pani Azur, której imienia chrzestnego zapomniałem, i – niebacznie, wczoraj – Amalia (B[ettini]).

Większość tych uroczych istot nie zaszczyciła mnie swymi łaskami, ale dosłownie wypełniły całe moje życie. Po nich nastąpiły moje książki. W rzeczywistości nigdy nie byłem ambitny, ale w roku 1811 uważałem się za ambitnego.

Zwykłym stanem mego życia było: nieszczęśliwy kochanek, kochający muzykę i malarstwo, czyli rozkoszować się

tworami tych sztuk, nie zaś uprawiać je lichu. Szukałem z cudowną wrażliwością pięknych krajobrazów; dlatego jedynie podróżowałem. Krajobrazy były niby *smyczek*, który grał na mej duszy, a widoki, których nikt nie opisywał – grupa skał w pobliżu Arbois, zdaje mi się, kiedy się jedzie gościńcem z Dôle – są dla mnie żywym i oczywistym obrazem duszy Metyldy. Widzę, że zawsze przekładałem marzenie nad wszystko, nawet nad reputację inteligencji i dowcipu. Nie zadawałem sobie tego trudu, nie siliłem się improwizować dialogów na intencję towarzystwa, w którym się znalazłem; wszedłem na tę drogę aż w roku 1826 z przyczyny rozpacz, w jakiej spędziłem pierwsze miesiące tego nieszczęsnego roku.

Niedawno dowiedziałem się, wyczytawszy to w książce (listy Wiktora Jacquemont z Indii), że mogłem w czyichś oczach być „światny”. Kilka lat temu czytałem mniej więcej to samo w modnej wówczas książce Lady Morgan. Zapomniałem tego przymiotu, który mi zyskał tylu wrogów. Był to może tylko pozór tego przymiotu, a wrogowie moi są to istoty zbyt proste, aby sądzić i o tym, co „światne”: w jaki sposób na przykład taki hrabia d'Argout mógłby sądzić o tym, co *światne*? Człowiek, którego pasją jest czytać parę tomów dziennie romansów godnych pokojówki! W jaki sposób pan de Lamartine mógłby sądzić o dowcipie? Po pierwsze, sam go nie ma, a po wtóre, on też pożera dwa tomy dziennie płaskich bredni (widziałem to we Florencji w 1824 czy 1826).

Wielka *drawback* (niedogodność) inteligencji jest to, że

trzeba mieć oko zwrócone na przygłupków, którzy cię otaczają, i *nasiąkać ich płaskimi wrażeniami*. Mam tę wadę, że przywiązuję się do najmniej jałowego człowieka i staję się niezrozumiały dla innych, którzy może są z tego radzi.

Od czasu jak jestem w Rzymie, nie silę się na inteligencję ani raz na tydzień, i to ledwie przez pięć minut; wolę marzyć. Ci ludzie nie znają na tyle francuskiego, aby odczuć subtelności moich spostrzeżeń; trzeba im grubego dowcipu komiwojażera jak melodramatu, który ich zachwyca (przykład: Michel Angelo Caetani) i jest ich prawdziwym chlebem powszednim. Widok podobnego sukcesu mrozi mnie, nie radzę odzywać się do ludzi, którzy klaszczą na melodramie. Widzę całą nicość próżności.

Zatem dwa miesiące temu, we wrześniu 1835 r., myśląc o pisaniu tych pamiętników, nad brzegiem jeziora Albano (o dwieście stóp od powierzchni jeziora) kreśliłem na piasku, jak Zadig, te inicjały<sup>8</sup>:

V. An.(1.) Ad. M.(2.) Mi. Al. A.inc.(3.) A.Pg. M.de. C.  
(4.) G.(5.) A.ur.(6.)<sup>9</sup>  
(P. Azur, której imienia nie pamiętam).

---

<sup>8</sup> *inicjały* – V. A [przypis edytorski]

<sup>9</sup> V. An.(1.) Ad. M.(2.) Mi. Al. A.inc.(3.) A.Pg. M.de. C.(4.) G.(5.) A.ur.(6.) – Ten ciąg skrótów odpowiada wcześniejszej liście: „Wirginia (Kubly), Angela (Pietragrua), Adela (Rebuffel), Melania (Guilbert), Mina (von Griesheim), Aleksandra (Petit), Angelina, której nigdy nie kochałem (Bereyter), Angela (Pietragrua), Metylda (Dembowska), Klementyna, Giulia”. Do ostatniego skrótu: A.ur. odnosi się uwaga zanotowana poniżej w nawiasie: „P. Azur, której imienia nie pamiętam”. W źródle w tym miejscu jest odwzorowany ręczny zapis. [przypis edytorski]

Dumałem głęboko nad tymi imionami i nad zdumiewającymi głupstwami i idiotyzmami, o jakie mnie przyprawiły (tj. zdumiewającymi dla mnie, ale nie dla czytelnika, zresztą nie żałuję ich).

W rzeczywistości posiadałem tylko sześć kobiet z tych, które kochałem.

Największa namiętność waży się między Melanią (2), Aleksandrą, Metyldą i Klementyną (4).

Klementyna jest tą, która sprawiła mi największy ból, rzucając mnie. Ale czy ten ból da się porównać z bólem, jaki zadała mi Metylda, nie chcąc powiedzieć mi, że mnie kocha?

Ze wszystkimi nimi i z wieloma innymi byłem zawsze dzieckiem; toteż miałem bardzo mało sukcesów. Ale w zamian zajmowały mnie one wiele i namiętnie i zostawiły mi wspomnienia, które mnie czarują (niektóre po dwudziestu czterech latach, jak wspomnienie z Madonna del Monte w Varese w 1811). Nie byłem kobieciarzem, nie dosyć, zajmowałem się tylko tą kobietą, którą kochałem, a kiedy nie kochałem nikogo, dumałem w teatrze o sprawach ludzkich albo czytałem z rozkoszą Monteskiusza lub Waltera Scotta. *Za to*, jak mówią dzieci, jestem tak daleki od zblazowania ich chytryściami i ich minkami, że w moim wieku – pięćdziesiąt dwa lata – jestem jeszcze pod urokiem długiej *chiacchierata*<sup>10</sup>, jaką Amalia miała wczoraj ze mną w teatrze „Valle”.

Aby je rozważać możliwie najfilozoficzniej i starać się je

---

<sup>10</sup> *chiacchierata* (wł.) – pogawędka. [przypis redakcyjny]

rozebrać z aureoli, która mi mąci wzrok, która mnie olśniewa i odbiera mi zdolność wyraźnego widzenia, *uszereguję* te panie (termin matematyczny) wedle ich rozmaitych przymiotów. Powiem tedy – aby zacząć od ich pospolitej namiętności: próżności – że dwie wśród nich były hrabiny, a jedna baronowa.

Najbogatsza była Aleksandra Petit; jej mąż, a zwłaszcza ona wydawali jakich 80 000 franków rocznie. Najbiedniejsza była Mina von Griesheim, młodsza córka generała bez majątku i faworyta upadłego władcy, którego gaża opędzała koszt całej rodziny, lub też panna Bereyter, aktorka w Opera Buffa.

Staram się rozwiać urok, *dazzling* wydarzeń roztrząsając je w ten sposób, po żołniersku. To mój jedyny sposób, aby dojść prawdy w przedmiocie, o którym nie mogę mówić z nikim. Przez wstydlivość melancholicznego temperamentu (Cabanis) rozwijałem pod tym względem zawsze dyskrecję niewiarygodną, szaloną. Co się tyczy dowcipu, Klementyna biła je wszystkie. Metylda przerastała je hiszpańską szlachetnością uczuć; Giulia, o ile mi się zdaje, siłą charakteru, mimo iż w pierwszej chwili zdawała się najślabsza; Angela P[ietragrua] była wspaniałą włoską dziwką w stylu Lukrecji Borgia, a pani Azur dziwką mniej wzniosłą, w stylu takiej Du Barry.

Z pieniędzmi byłem w zatargu jedynie dwa razy: z końcem roku 1805 i w roku 1806 aż do sierpnia, kiedy ojciec przestał mi posyłać pieniądze, *nie uprzedziwszy mnie* – to było najgorsze; raz przez całych pięć miesięcy nie wypłacił mi moich 150 franków. To były dni naszej wielkiej nędzy z wicehrabią; on otrzymywał

regularnie pensję, ale przegrywał ją regularnie całą tego samego dnia.

W roku 1829 i 30 byłem w kłopotach raczej przez brak rządności i przez niedbalstwo niż przez istotny brak środków, skoro od 1821 do 1830 odbyłem trzy czy cztery podróże do Włoch, do Anglii, do Barcelony, z końcem zaś tego okresu miałem jedynie 400 franków długów.

Mój największy brak pieniędzy przywiódł mnie do niemiłej potrzeby pożyczania 100 lub czasem i 200 franków od pana Besan[çon]. Oddawałem mu po miesiącu lub dwóch; wreszcie w sierpniu 1830 winien byłem 400 franków memu krawcowi, panu Michel. Ci, którzy znają życie młodych ludzi mojej epoki, uznają to za bardzo umiarkowane. Od 1800 do 1830 nie byłem nigdy winien ani grosza memu krawcowi, panu Léger, ani też jego następcy, Michelowi (ulica Vivienne nr 22).

Moi ówczesni przyjaciele (1830), panowie de Mareste, Colomb, to byli przyjaciele osobliwego pokroju; uczyniliby z pewnością wiele, aby mnie ocalić z wielkiego niebezpieczeństwa, ale kiedy wychodziłem z domu w nowym ubraniu, daliby – pierwszy zwłaszcza – 20 franków, aby ktoś wylał na mnie szklanekę brudnej wody. (Wyjąwszy wicehrabiego de Barral i Bigilliona (z Saint-Ismier) zawsze prawie miałem tylko tego typu przyjaciół).

Byli to dzielni ludzie, bardzo przezorni, którzy zgromadzili po 12 000 lub 15 000 franków pensji lub renty pracą lub wytrwałą zręcznością i którzy nie mogli znieść, że mnie widzą wesołym,

beztroskim, szczęśliwym z zeszytem czystego papieru i z piórem i żyjącym z lada 4000 czy 5000 franków. Woleliby sto razy widzieć mnie smutnym i nieszczęśliwym, że mam ledwo połowę lub trzecią część ich dochodów, mnie, który niegdyś drażniłem ich może nieco, kiedy miałem stangreta, parę koni, kolaskę i kabriolet, bo aż tych wyżyn sięgał mój zbytek za Cesarza. Wówczas byłem – lub myślałem, że jestem – ambitny; krępowało mnie w tym mniemaniu jedynie to, że nie wiedziałem, czego pragnąć. Wstyd mi było, że się Kocham w hrabinie Al[eksandrze] Petit; miałem na utrzymaniu pannę A. Bereyter, aktorkę z Opera Buffa, jadałem u Hardy'ego, byłem niewiarygodnie ruchliwy. Wracałem z Saint-Cloud do Paryża umyślnie, aby być na jednym akcie. *Matrimonio segreto* w „Odeonie” (pani Barilli, Barilli, Tacchinardi, pani Festa, panna Bereyter). Kabriolet czekał na mnie pod Hardym – oto czego mój szwagier nigdy mi nie przebaczył.

Wszystko to mogło uchodzić za furfanterię, a nie było nią. Staralem się używać i żyć, ale nie starałem się bynajmniej udawać więcej rozkoszy i życia, niż było w istocie. Pan Prunelle, lekarz, inteligentny człowiek, którego rozsądek bardzo mi się podobał, straszliwie brzydki i sławny później jako przedajny poseł i mer Lyonu około 1833, którego znałem w owym czasie, powiadał o mnie: „Cóż za pyszałek!”. Ten sąd utarł się wśród znajomych. Może zresztą mieli słuszność.

Mój przezacny szwagier i prawdziwy mieszczuch, pan Périer-Lagrange (były kupiec, który się rujnował bezwiednie, bawiąc

się w gospodarstwo koło La Tour-du-Pin), będąc ze mną na śniadaniu u Hardy'ego i widząc, że musztruję tęgo służbę (bo przy moich obowiązkach często mi się spieszyło), był uszczęśliwiony z jakiejś uwagi garsonów, która znaczyła, że jestem pyszałek, co mnie wcale nie zmartwiło. Zawsze i jakby instynktownie (jakże potwierdziła ten instynkt nasza Izba!) miałem głęboką pogardę dla mieszczuchów.

Bądź co bądź widziałem także, że jedynie wśród mieszczuchów znajdują się ludzie energiczni, tacy jak mój kuzyn Rebuffel (kupiec z ulicy Saint-Denis), stary Ducros, bibliotekarz z Grenoble, nieporównany Gros (z ulicy Św. Wawrzyńca), wspaniały geometra i mój nauczyciel bez wiedzy męskich przedstawicieli mojej rodziny, bo to był jakobin, a cała moja rodzina szalenie bigocka. Ci trzej ludzie posiadali cały mój szacunek i całe moje serce, o tyle, o ile szacunek i różnica wieku dopuszczała do owego zbliżenia, z którego rodzi się miłość. A nawet byłem z nimi taki, jak później byłem z istotami, które zanadto kochałem, niemy, nieruchomy, tępy, niesympatyczny, a niekiedy wręcz obrażający wskutek siły mego oddania i zaparcia się swego „ja”. Moja miłość własna, mój interes, moje „ja” znikwały w obliczu ukochanej osoby, zmieniałem się w nią. Co było, jeżeli ta osoba była łajdaczką, jak pani Pietragrua? Ale wciąż uprzedzam. Czy będę miał odwagę napisać te „wyznania” w sposób zrozumiały? Trzeba opowiadać, a ja piszę *rozważania* nad wypadkami bardzo drobnymi, ale które właśnie z przyczyny swego mikroskopijnego wzrostu wymagają, aby je opowiadać

bardzo wyraźnie. Co za cierpliwości trzeba ci będzie, o mój czytelniku!

Zatem wedle mnie *energia* istniała, nawet w moich oczach (1811), jedynie w klasie, która walczy z prawdziwymi potrzebami.

Moi dobrze urodzeni przyjaciele: Rajmund de Bérenger (zabity pod Lützen), de Saint-Ferréol, de Sinard (dewot młodo zmarły), Gabriel du Bouchage (filut, naciągacz, dziś par Francji i zapamiętały klerykał), panowie de Monval, zdawali mi się ludźmi bardzo osobliwymi, mieli straszliwy szacunek dla *konwenansów* (np. Sinard). Silili się zawsze być w *dobrym tonie* albo *comme il faut*, jak mówiło się w Grenoble w roku 1793. Ale wówczas nie uświadamiałem sobie tego. Nie ma roku, jak moje pojęcia o *szlachcie* dojrzały wreszcie. Instynktownie moje życie duchowe zeszło na pilnym rozważaniu kilku zasadniczych pojęć i staraniu się dojścia prawdy o nich.

Rajmund de Bérenger był wybornym przykładem zasady *noblesse oblige*; za to Monval (zmarły jako pułkownik i otoczony powszechną pogardą około roku 1829 w Grenoble) był ideałem postą z centrum. Wszystko to zapowiadało się już bardzo wyraźnie, kiedy ci panowie mieli po piętnaście lat, około 1798.

Co do większości tych rzeczy, widzę jasno prawdę dopiero w chwili, gdy je piszę, w 1835, tak do dziś były spowite aureolą młodości, zrodzoną z nadmiernej żywości wrażeń.

Stosując metody filozoficzne, na przykład starając się sklasyfikować przyjaciół mojej młodości *gatunkami*, jak Adrian

de Jussieu zrobił z roślinami w botanice, staram się pochwycić prawdę, która mi się wymyka. Spostrzegam, że to, co brałem za wysokie góry w roku 1800, to były po największej części jedynie kretowiska, ale odkrycie to zrobiłem aż bardzo późno.

Widzę, że byłem jak płochliwy koń, a świadomość tę zawdzięczam słowom, które mi rzekł pan de Tracy (znakomity hrabia Destutt de Tracy, par Francji, członek Akademii Francuskiej i – co jest o wiele więcej – autor ustawy z 3 prairiala o Szkołach Centralnych).

Trzeba mi dać przykład. Z powodu lada błahostki, na przykład uchylonych drzwi w nocy, wyobrażałem sobie, że dwóch uzbrojonych ludzi czatuje, aby mi nie dać dojść do okna wychodzącego na sień, w której spotykałem się z moją kochanką. Było to złudzenie, któremu rozsądny człowiek, jak Abraham Constantin, mój przyjaciel, nie byłby uległ. Ale po paru sekundach (cztery lub pięć najwyżej) ofiara mojego życia była faktem dokonany; rzucałem się jak bohater naprzeciw dwóch wrogów, którzy zmieniali się w niedomknięte drzwi.

Nie ma dwóch miesięcy, jak rzecz w tym rodzaju (tym razem w sferze moralnej) zdarzyła mi się znowu. Ofiara była spełniona, cała potrzebna odwaga zmobilizowana, kiedy po dwudziestu godzinach, odczytując źle przeczytany list (od pana Hérard), spostrzegłem, że to było złudzenie. Czytam zawsze bardzo prędko to, co mi jest przykre. Zatem klasyfikując moje życie niby zbiór roślin spostrzegłem:

Dzieciństwo, pierwsze wychowanie, od 1786 do 1800

..... 15 lat

Służba wojskowa, od 1800 do 1803 ..... 3  
lata

Drugie wychowanie, pocieszne amory z panną Adelą Clozel i z jej matką, która przywłaszczyła sobie amanta córki. Życie przy ulicy d'Angivilliers. Wreszcie uroczy pobyt w Marsylii z Melanią, od 1803 do 1805  
..... 2 lata

Powrót do Paryża, koniec wychowania  
..... 1 rok

Służba pod Napoleonem, od 1806 do końca 1814 (od października 1806 do abdykacji w 1814)  
..... 7 ½ lat

Kwiecień, moja deklaracja w tym samym numerze „Monitora”, w którym znalazła się abdykacja Napoleona. Podróże, wielkie i straszliwe miłości, pociecha w pisaniu książek, od 1814 do 1830 ..... 15 ½ lat

Druga służba, stanowisko konsula, od 15 Września 1830 do obecnego kwadransa  
..... 5 lat

Zacząłem edukację światową w salonie pani de Valserre, dewotki o szczególnej twarzy, bez podbródka, córki barona des Adrets, przyjaciółki mojej matki. Było to prawdopodobnie około 1794. Z płomiennym temperamentem łączyłem nieśmiałość opisaną przez Cabanisa. Byłem szczególnie wzruszony pięknnością ramion panny Bonne de Saint-Vallier, o ile pamiętam: widzę twarz i piękne ramiona, ale nazwisko jest mi niepewne, może to była panna de Lavalette? Pan de Saint-Ferréol, o którym

od tego czasu nie słyshałem, był moim wrogiem i moim rywalem; pan de Sinard, wspólny przyjaciel, godził nas. Wszystko to działo się we wspaniałym apartamencie wychodzącym na ogród pałacu des Adrets, obecnie zburzonego i zmienionego na zwykły dom, przy ulicy Nowej w Grenoble. W tej samej epoce zaczęło się moje uwielbienie dla ojca Ducros (kordeliera, który zrzucił habit, człowieka bardzo niepospolitego, przynajmniej tak mi się zdaje). Jako serdecznego przyjaciela miałem mego dziadka, Henryka Gagnon, doktora medycyny.

Po tylu ogólnych rozważaniach rodzę się.

## Rozdział III

Pierwszym moim wspomnieniem jest, że ugryzłem w twarz czy w czoło panią Pison du Galland, moją kuzynkę, żonę zdolnego człowieka, posła do Konstytuanty. Widzę ją jeszcze, kobietę dwudziestopięcioletnią, tłuściutką, silnie uróżowaną. To zapewne ten róż mnie podrażnił. Siedziała na łączce koło bramy Bonne, a policzek jej znalazł się na wysokości mojej twarzy.

„Uściskaj mnie, Henrysiu” – rzekła. Nie chciałem, ona się pogniewała, ugryzłem ją porządnie. Widzę tę scenę, ale zapewne dlatego, że natychmiast skarcono mnie i bez ustanku mówiono mi o tym.

Łączka ta była porośła margerytkami. Rwałem te ładne kwiatki i robiłem z nich bukiety. Ta łąka z roku 1786 znajduje się dziś z pewnością w środku miasta, na południe od kościoła naszego kolegium.

Ciotka Serafia orzekła, że jestem potwór i że mam okropny charakter. Ta ciotka Serafia była kwaśna jak dewotka, której nie udało się wyjść za mąż. Co jej się zdarzyło? Nigdy nie dowiedziałem się tego, nie znamy nigdy skandalicznej kroniki naszych krewnych, opuściłem zaś na zawsze miasto w szesnastym roku, po trzech latach namiętnej miłości, która mnie wtrąciła w najzupełniejszą samotność.

Drugi rys charakteru jest o wiele czarniejszy.

Zrobiłem sobie kolekcję trzcin, wciąż na łączce koło bramy

Bonne. (Zapytać o botaniczną nazwę trzciny, ziele formy cylindrycznej jak pióro kogucie, mające stopę długości).

Odprowadzono mnie do domu, którego okno na pierwszym piętrze wychodziło na ulicę Wielką, na rogu place Grenette. Robiłem sobie ogródek, tnąc te trzciny na kawałki dwa cale długie, które umieszczałem na przestrzeni między balkonem a rynną. Nóż kuchenny, którym się posługiwałem, wysunął mi się i spadł na ulicę, to znaczy z wysokości dwunastu stóp, u nóg pani Chenevaz. Była to najgorsza osoba w całym mieście (matka Kandyda Chenevaz, który za młodu uwielbiał *Klarysę Harlowe Richardsona*, potem był jednym z trzystu pana de Villèle<sup>11</sup>, za co go wynagrodzono posadą prezydenta Sądu Apelacyjnego w Grenobli; umarł w Lyonie).

Ciotka moja, Serafia, orzekła, że ja chciałem zabić panią Chenevaz; uznano, że mam okropny charakter; połajał mnie kochany dziadek Gagnon, który się bał swojej córki Serafii, dewotki trzęsącej miastem; połajała mnie nawet moja przezacna cioteczna babka – wspaniały, iście hiszpański charakter – Elżbieta Gagnon.

Oburzyłem się, miałem może cztery lata. Od tej epoki datuję mój wstręt do religii, wstręt, który rozum mój zaledwie zdołał sprowadzić do właściwych rozmiarów, i to niedawno, sześć lat temu. Prawie w tym samym czasie narodziła się moja

---

<sup>11</sup> był jednym z trzystu pana de Villèle – Joseph de Villèle, stojący w latach 1821–1828 na czele rządu, dysponował w Izbie Deputowanych zastępem oddanych sobie ludzi w liczbie trzystu. [przypis redakcyjny]

instynktowna miłość synowska, szalona wręcz w owym czasie, do republiki.

Miałem nie więcej niż pięć lat.

Ta ciotka Serafia była moim złym duchem przez całe moje dzieciństwo; była znienawidzona, ale miała duży wpływ w rodzinie. Zdaje mi się, że później ojciec mój zakochał się w niej, były przynajmniej długie spacery do Granges, po bajorach pod murami miasta, gdzie byłem jedynym, niewygodnym świadkiem, przy czym nudziłem się potężnie. Kryłem się w momencie, gdy zbliżał się czas tych przechadzek. Tam rozbiła się ta odrobina sympatii, jaką miałem dla mego ojca.

W rzeczywistości wychowywał mnie wyłącznie mój kochany dziadek, Henryk Gagnon. Ten rzadki człowiek odbył niegdyś pielgrzymkę do Ferney, aby zobaczyć Woltera, który przyjął go bardzo grzecznie. Miał mały biust<sup>12</sup> Woltera, wielkości pięści, na drewnianym postumencie hebanowym wysokim na sześć cali. (Gust w istocie osobliwy, ale sztuki piękne nie były silną stroną Woltera ani mego przezacnego dziadka).

Biust ten umieszczony był przed biurkiem, na którym dziadek pisał; gabinet jego znajdował się w głębi obszernego apartamentu wychodzącego na wykwintną terasę strojną kwiatami. Był to dla mnie rzadki fawor, kiedy mnie tam wpuszczono, a jeszcze rzadszy oglądać biust Woltera i dotykać go.

Mimo to, jak tylko sięgnę pamięcią, pisma Woltera bardzo mi się nie podobały, wydały mi się dzieciństwem. Mogę powiedzieć,

---

<sup>12</sup> *biust* (daw.) – popiersie. [przypis edytorski]

że nic z tego wielkiego człowieka nigdy mi się nie podobało. Nie mogłem rozumieć wówczas, że on był prawodawcą i apostołem Francji, jej Marcinem Lutrem.

Henryk Gagnon nosił okrągłą pudrowaną perukę z trzema rzędami pukli, ponieważ był doktorem medycyny, i to doktorem modnym u pań, posądzanym nawet o to, że był kochankiem niejednej z nich, między innymi pani Teyssère, jednej z najładniejszych w mieście. Nie pamiętam, abym ją widział kiedy, bo wówczas byli poróżnieni; ale dała mi to później do zrozumienia w najosobliwszy sposób. Przez tę perukę mój przeczny dziadek zawsze wyglądał w moich oczach na osiemdziesiąt lat. Miewał wapory (jak ja nieszczęsny), reumatyzmy, chodził z trudnością, ale z zasady nie jeździł nigdy powozem i nigdy nie kładł kapelusza: mały trójkątny kapelusik do trzymania pod pachą. Rozkoszą moją było dopaść go, aby go włożyć na głowę, co było uważane przez całą rodzinę za brak uszanowania; wreszcie przez uszanowanie przestałem się zajmować trójgraniastym kapeluszem i laseczką z bukszpanową gałką, inkrustowaną szylkretem.

Dziadek ubóstwiał fałszowaną korespondencję Hipokrata, którą czytał po łacinie (mimo że umiał trochę po grecku), oraz Horacego (wydanie Johannesesa Bond), drukowanego straszliwie drobno. Przekazał mi te dwie namiętności i w ogóle prawie wszystkie swoje gusty, ale nie tak, jak byłby chciał. Wy tłumaczę to później.

Jeżeli kiedy wrócę do Grenoble, muszę poszukać metryki

urodzin i zgonu tego kochanego człowieka, który mnie ubóstwiał, a nie lubił swojego syna, Romana Gagnon, ojca Oroncjusza Gagnon, kapitana dragonów, który zabił człowieka w pojedynku przed trzema laty, za co go szanuję; widocznie nie jest ciemną. Będzie trzydzieści trzy lata, jak go nie widziałem, ma może trzydzieści pięć.

Straciłem dziadka w czasie, gdy byłem w Niemczech; czy to było w 1807, czy 1813, nie pamiętam dokładnie. Pomnę, że odbyłem podróż do Grenoble, aby go ujrzeć jeszcze; zastałem go bardzo przygnębionym. Ten człowiek tak uroczy, który był duszą wieczorynek wszędzie, gdzie się pokazał, nie mówił już prawie. Powiedział mi: „To pożegnalna wizyta”, po czym zaczął mówić o czym innym; brzydził się głupimi rodzinnymi rozczuleniami.

Przypomniało mi się coś. Około roku 1807 dałem się portretować, chcąc nakłonić panią Al[eksandrę] Petit, aby się też sportretowała; że zaś wymawiała się niechęcią do długiego pozowania, zaprowadziłem ją do malarza naprzeciw Dioramy, który malował olejno od jednego razu, za 120 franków. Mój zacy dziadek zobaczył ten portret, który posłałem siostrze (zdaje mi się), aby się go pozbyć; już był bardzo podupadły umysłowo, powiedział, widząc ten portret: „To jest prawdziwy” i znów zapadł w przygnębienie. Umarł rychło potem, o ile mi się zdaje, w wieku, jak sądzę, osiemdziesięciu dwu lat.

Jeżeli data ta jest ścisła, musiał mieć sześćdziesiąt jeden lat, w 1789 i urodzić się około 1728. Opowiadał czasami bitwę pod

Assiette<sup>13</sup>, potyczkę w Alpach podjętą daremnie przez kawalera de Belle-Isle w 1742, o ile mi się zdaje. Ojciec jego, człowiek z charakterem, pełen energii i honoru, wysłał go tam jako chirurga i wojskowego, aby sobie wyrobił charakter. Dziadek zaczynał wówczas studia lekarskie i mógł mieć osiemnaście albo dwadzieścia lat, co wskazuje również, że urodził się około roku 1724.

Miał stary dom położony w najpiękniejszym punkcie na placu Grenette, na rogu ulicy Wielkiej, od południa, z frontem na najpiękniejszy plac w mieście, na dwie współzawodniczące kawiarnie oraz centrum dobrego towarzystwa. Tam na pierwszym piętrze, bardzo niskim, ale nadzwyczaj wesołym i słonecznym mieszkał dziadek aż do roku 1789.

Musiał być wówczas bogaty, bo kupił wspaniały dom położony za jego domem, będący własnością pań de Marnais. Zajmował drugie piętro w swoim domu na placu Grenette i całe odpowiadające piętro domu pań Marnais i urządził sobie najpiękniejsze mieszkanie w mieście. Były tam schody wspaniałe jak na owe czasy i salon mający może trzydzieści pięć stóp na dwadzieścia osiem.

Poczyniono reperacje w dwóch pokojach wychodzących na plac Grenette, między innymi przepierzenie, aby oddzielić pokój straszliwej ciotki Serafii, córki dziadka Gagnon, od pokoju mojej

---

<sup>13</sup> *Opowiadał czasami bitwę pod Assiette* – Bitwa pod Assiette rozegrała się w czasie wojny o sukcesję austriacką (1747); rok wcześniej gen. de Belle-Isle odparł Austriaków spod Tulonu. [przypis redakcyjny]

ciotecznej babki, Elżbiety, jego siostry. Były żelazne klamry na tym przepierzeniu, na otynkowaniu każdej z nich napisałem: „Henryk Beyle, 1789”. Widzę jeszcze te piękne napisy, którymi dziadek był zachwycony. „Skoro tak dobrze piszesz – rzekł – godzin jesteś zacząć łacinę”.

To słowo obudziło we mnie strach. Niebawem pedant o straszliwej postaci, pan Joubert, wysoki, blady, chudy, wspierający się na lasce, zaczął mnie uczyć deklinacji słowa *mura*, morwa. Poszliśmy kupić elementarz u pana Giroud, księgarza, w dziedzińcu wychodzącym na plac Targowy. Nie podejrzewałem wówczas, co za złowrogi instrument mi kupiono.

Tu zaczynają się moje nieszczęścia.

Ale odwlekam od dawna konieczny epizod, jeden z paru, które sprawią może, że rzucę te pamiętniki w ogień.

Matka moja, Henryka Gagnon, była to urocza kobieta; byłem zakochany w mojej matce.

Pospieszam dodać, że straciłem ją, mając siedem lat.

Kochając ją może w szóstym roku (1789), byłem zupełnie ten sam, co kiedy w 1828 kochałem do szaleństwa Albertę de Rubempré. Mój sposób polowania na szczęście nie zmienił się w gruncie wcale, z tym jedynie wyjątkiem: byłem, co się tyczy fizycznej strony miłości, takim, jakim byłby Cezar, gdyby wrócił na świat, w stosunku do armat i broni palnej. Byłbym się tego szybko wyuczył i nie zmieniłoby to w gruncie nic mojej taktyki.

Lubiłem okrywać matkę pocałunkami, lubiłem ją bez ubrania. Ona kochała mnie namiętnie i całowała mnie często;

ja oddawałem jej pocałunki z takim ogniem, że często była zmuszona się oddalić. Nienawidziłem ojca, kiedy przerywał nasze pieśczęty. Wciąż chciałem całować ją w piersi. Niech czytelnik raczy pamiętać, że straciłem ją wskutek połogu, kiedy miałem ledwie siedem lat.

Była pulchna, świeża, była bardzo ładna; zdaje mi się jedynie, że nie była dość wysoka. Rysy miała szlachetne i pogodne; bardzo żywa, często wołała zająć się czymś sama niż wydawać rozkazy swoim trzem służącym; wreszcie, czytała często w oryginale *Boską Komedię* Dantego, której o wiele później znalazłem kilka egzemplarzy w rozmaitych wydaniach w jej apartamencie, zamkniętym od jej śmierci.

Zginęła w kwiecie młodości i urody w roku 1790; mogła mieć dwadzieścia osiem albo trzydzieści lat.

Tu zaczyna się moje życie wewnętrzne.

Ciotka moja, Serafia, śmiała mi wyrzucać, że nie dosyć płaczę. Osądźcie moją boleść i co się działo we mnie! Ale zdawało mi się, że ujrzę matkę jutro, nie rozumiałem śmierci.

Tak więc jest czterdzieści pięć lat od czasu, jak straciłem największe moje ukochanie na ziemi.

Nie może czuć się obrażona śmiałością, z jaką mówię, wyznając, że ją kochałem; gdybym ją spotkał kiedy, powiedziałbym to jej jeszcze. Zresztą nie brała w niczym udziału w tej miłości. Nie poczynała sobie po wenecku, jak pani Benzoni z autorem *Nelli*. Co do mnie, byłem tak występny, jak tylko

można, kochałem jej powaby do szaleństwa.

Jednego wieczora, kiedy jakimś przypadkiem ułożono mnie do snu w jej pokoju na ziemi, na materacu, kobieta ta, żywa i lekka jak sarenka, przeskoczyła przez mój materac, aby szybciej dostać się do łóżka.

Pokój jej był zamknięty przez dziesięć lat po jej śmierci. Ojciec z trudem pozwolił mi tam umieścić ceratową tablicę i studiować matematykę w roku 1798, ale żaden służący nie wchodził tam, dostałby tęgie wcieranie, ja jeden miałem klucz. Teraz, kiedy o tym myślę, to uczucie mego ojca przynosi mi zaszczyt w moich oczach.

Umarła tedy w swoim pokoju przy ulicy des Vieux Jésuites (piąty lub szósty dom po lewej, idąc z ulicy Wielkiej, naprzeciw domu pana Teisseire). Tam się urodziłem, dom ten należał do mego ojca, który go sprzedał wówczas, kiedy zaczął budować swoją nową ulicę i robić szaleństwa. Tę ulicę, która go zrujnowała, nazwano ulicą Delfina (ojciec mój był skrajnym reakcjonistą, stronnikiem księży i szlachty); dziś, zdaje mi się, nazywa się ulicą La Fayette.

Przebywałem najczęściej u dziadka, którego dom był zaledwie o sto kroków od naszego.

## Rozdział IV

Napisałbym cały tom w związku z okolicznościami śmierci osoby tak mi drogiej.

To znaczy; nie znam zupełnie szczegółów, umarła w połogu, podobno wskutek niezręczności chirurga nazwiskiem Hérault, głupca wziętego prawdopodobnie na złość innemu położnikowi, człowiekowi zdolnemu i zręcznemu. Tak samo mniej więcej umarła pani Petit w roku 1814. Obszernie mogę opisać jedynie moje uczucia, które prawdopodobnie wydałyby się przesadzone albo nieprawdopodobne widzowi przywykłemu do fałszu powieści (nie mówię o Fieldingu) lub do bładych romansów wyciśniętych z serc paryskich.

Muszę pouczyć czytelnika, że Delfinat ma swój odrębny sposób czucia, żywy, uparty, logiczny, którego nie spotkałem nigdzie indziej. Dla ludzi umiejących patrzeć – co trzy stopnie szerokości geograficznej muzyka, krajobrazy i powieści powinny by się zmieniać. Na przykład w Valence, nad Rodanem, charakter prowansalski kończy się, charakter burgundzki zaczyna się od Valence i ustępuje między Dijon a Troyes naturze paryskiej, grzecznej, dowcipnej, płytkiej, słowem, myślącej wiele o drugich.

Charakter Delfinatu ma upór, głębię, inteligencję, spryt, których na próżno by się szukało w Prowansji lub Burgundii, jego sąsiadkach. Tam gdzie Prowansalczyk wyżywa się w straszliwych

przekleństwach, tam mieszkaniec Delfinatu zastanawia się i patrzy w głąb swego serca.

Wszyscy wiedzą, że Delfinat był państwem odrębnym od Francji, pół włoskim przez swą politykę, aż do roku 1[349]. Później Ludwik XI, następca tronu, poróżniony z ojcem, zarządzał krajem przez... lat<sup>14</sup>; zdaje mi się dość prawdopodobne, że to jego duch, głęboki a nieśmiały, obcy instynktownym odruchom, wycisnął swoje piętno na charakterze Delfinatu. Za moich czasów jeszcze w pojęciach dziadka i ciotki Elżbiety, wcielenia tęgich i szlachetnych instynktów mojej rodziny, Paryż nie był wzorem: to było miasto dalekie i wrogie, którego wpływu należało się strzec.

Obecnie, kiedy umizgnąłem się do mniej czułych czytelników za pomocą tej dygresji, opowiem, że w wilię śmierci mojej matki wyprowadzono nas, mnie i siostrę moją Paulinę, na spacer ulicą Montorge, wróciliśmy wzdłuż domów po lewej (północnej) stronie ulicy. Umieszczono nas u dziadka, w domu wychodzącym na plac Grenette. Spałem na podłodze, na materacu, między oknem a kominkiem, kiedy około drugiej rano cała rodzina wróciła, szlochając.

– Ale jakim cudem doktorzy nie znaleźli lekarstwa?  
– mówiłem do starej Marion, istnej służącej z Moliera, przyjaciółki państwa, ale mówiącej im prawdę w oczy, która znała moją matkę bardzo młodo i patrzyła na jej zamęście

---

<sup>14</sup> *zarządzał krajem przez... lat* – Przez 10 lat: od roku 1446 do 1456. [przypis autorski]

dziesięć lat wprzódy, w 1780, i która bardzo mnie kochała.

Maria Thomasset, z Vinay, typowe dziecko Delfinatu, zdrobniale nazywana Marion, spędziła noc przy moim materacu, płacząc rzewnymi łzami i mając jakoby czuwać nade mną. Byłem bardziej zdziwiony niż zrozpaczony, nie rozumiałem śmierci, nie bardzo w nią wierzyłem.

– Jak to – mówiłem do Marion – nie ujrzę jej już?

– Jakże chcesz ją ujrzeć, skoro ją powiozą na cmentarz?

– A gdzie to jest cmentarz?

– Przy ulicy Morw, parafia Panny Marii.

Całą rozmowę z owej nocy słyszę jak dziś; ode mnie zależałoby tylko przepisać ją tutaj. Tu naprawdę zaczęło się moje życie duchowe; miałem jakieś półsiódma<sup>15</sup> roku. Łatwo zresztą sprawdzić te daty w aktach.

Zasnąłem; nazajutrz, kiedym się obudził, Marion rzekła:

– Musisz iść uściskać ojca.

– Jak to, mamusia umarła? Ale jak to być może, żebym ja jej już nie ujrzał?

– Będziesz ty cicho, ojciec słyszy; o, leży tam, w łóżku babcinym.

Udałem się z niechęcią do tego łóżka, było tam ciemno, bo firanki były zasunięte. Miałem antypatię do ojca, przykrość mi sprawiało uściskać go.

W chwilę potem przyszedł ksiądz Rey, człowiek bardzo wysoki, bardzo zimny, ospowaty, z twarzą nieinteligentną i

---

<sup>15</sup> półsiódma (daw.) – sześć i pół. [przypis edytorski]

pocziwą, i mówiący przez nos (niedługo potem został wielkim wikariuszem). Był to przyjaciel rodziny.

Czy uwierzycie? Z powodu, że był księdzem, miałem do niego antypatię.

Ksiądz Rey stanął przy oknie, ojciec wstał, wziął szlafrok, wyszedł z alkowy zasłoniętej firankami z zielonego perkalu (były drugie, piękne firanki jedwabne, różowe, haftowane biało, które w dzień zasłaniały tamte).

Ksiądz Rey uściskał ojca w milczeniu. Ojciec wydał mi się bardzo brzydki, miał spuchnięte oczy, co chwila płynęły mu łzy. Zostałem w ciemnej alkowie i widziałem wszystko bardzo dobrze.

– Mój drogi panie, to dopust boży – rzekł wreszcie ksiądz, a słowo to, wyrzucone przez człowieka, którego nienawidziłem, do drugiego, którego też nie lubiłem, pograżyło mnie w zadumie.

Weźmie mnie ktoś za człowieka bez serca, ale wówczas byłem tylko zdumiony śmiercią matki. Nie rozumiałem tego słowa. Czy odważę się napisać to, co Marion mi wymawiała od tego czasu często? Zacząłem źle mówić o *God*<sup>16</sup>.

Zresztą przypuśćmy, żebym kłamał co do tych ostrych punktów, to pewna, że nie kłamię co do reszty. Jeżeli mam pokusę kłamać, to dopiero później, kiedy będzie chodziło o wielkie błędy znacznie późniejsze. Nie mam żadnego zaufania do inteligencji dzieci zapowiadających się na nadzwyczajność. W rodzaju o wiele mniej podległym złudzeniom, bo ostatecznie

---

<sup>16</sup> o *God* – o Bogu. [przypis redakcyjny]

dokumenty zostają, wszyscy nędzni malarze, których znałem, tworzyli mając osiem czy dziesięć lat rzeczy cudowne, *zapowiadające geniuszów*.

Niestety nic nie zwiastuje geniuszu; może upór byłby jego oznaką?

Nazajutrz była mowa o pogrzebie; ojciec, który był zupełnie zmieniony, ubrał mnie w rodzaj czarnego wełnianego płaszcza, który mi związał na szyi. Scena odbyła się w gabinecie mego ojca, przy ulicy des Vieux-Jésuites; ojciec był w czerni, a cały gabinet wyłożony był żałobnymi księgami, okropne wrażenie. Jedna *Encyklopedia* d'Alemberta i Diderota, oprawna niebiesko, stanowiła wyjątek w powszechnej szpetocie.

Ten przybytek prawa był niegdyś własnością pana de Brenier, męża pani de Valserre i radcy Parlamentu. Pani de Valserre, owdowiawszy, wzięła spadek po mężu, ale wróciła do nazwiska panińskiego uważając je za lepsze, bardziej „szlacheckie” niż de Brenier. Później wstąpiła do stowarzyszenia pań kanoniczek.

Wszyscy krewni i przyjaciele zebrali się w gabinecie ojca.

Przybrany w mój czarny płaszc, stałem w kolanach ojca w punkcie 1. Pan Pison starszy, kuzyn nasz, człowiek poważny, ale tak jak byli poważni ludzie z dworu, uznany w rodzinie za wyrocznie, był chudy, pięćdziesiąt pięć lat, bardzo dystyngowany wszedł i przystanął w punkcie 3<sup>17</sup>.

---

<sup>17</sup> w punkcie 1 (...) w punkcie 3 – W tym miejscu tekstowi towarzyszy szkic autora, przedstawiający plan mieszkania ze wszystkimi pomieszczeniami, znajdującymi się w nich osobami i z zaznaczonym umiejscowieniem trumny. Punkt 1 i 3 zaznaczone są naprzeciwko siebie. [przypis edytorski]

Zamiast płakać i być smutny, zaczął rozmawiać jak zwyczajnie i mówić o dworze. (Może to chodziło o Izbę Parlamentu<sup>18</sup>, bardzo możliwe). Zdawało mi się, że mówi o dworach cudzoziemskich, i głęboko dotknął mnie jego brak serca.

W chwilę potem wszedł mój wuj, brat matki, młody człowiek o ślicznej postawie, niesłychanie miły i ubrany bardzo wytwornie. Był to zdobywca serc w naszym mieście; i on zaczął rozmawiać jak zwyczajnie z panem Pison; stał w punkcie 4. Byłem oburzony, przypomniałem sobie, że ojciec nazywał go letkiewiczem. Zauważyłem wszakże, że miał oczy bardzo czerwone, a był bardzo przystojny; to mnie uspokoiło trochę.

Uczesany był bardzo wykwintnie, upudrowany jakimś pachnącym pudrem; fryzurę tę stanowiła czarna jedwabna wstążka i para wielkich „psich uszek” (tak je nazywano w sześć lat później), tak jak je nosi jeszcze książę de Talleyrand.

Zrobił się wielki hałas, wynoszono z salonu trumnę matki.

– A, nie znam się na porządkach takich ceremonii – rzekł obojętnie pan Pison, wstając, co mnie bardzo uraziło; to było moje ostatnie wrażenie „społeczne”. Kiedym wszedł do salonu i ujrzał przykrytą czarnym sukniem trumnę, w której *była moja matka*, chwyciła mnie gwałtowna rozpacz, zrozumiałem wreszcie, co to jest śmierć.

Ciotka Serafia już mnie oskarżyła o nieczułość.

---

<sup>18</sup> *Może to chodziło o Izbę Parlamentu* – Słowo *cour* znaczy zarówno „dwór” jak „Izba”. [przypis autorski]

Oszczędzam czytelnikowi wszystkich faz mojej rozpacz w kościele parafialnym Św. Hugona. Dławiłem się, zdaje się, że mnie musiano wynieść, bo moja boleść robiła zbyt wiele hałasu. Nigdy nie mogłem spokojnie patrzeć na ten kościół i na przylegającą doń katedrę. Sam dźwięk dzwonów katedralnych, nawet w roku 1828, kiedy odwiedziłem Grenoble, budził we mnie ów tępy, oschły smutek, bez rozczulenia, ów smutek graniczący z gniewem.

Przybywszy na cmentarz położony w bastionie przy ulicy Morw (dziś, a przynajmniej w 1828, zajęty przez wielki budynek, magazyn inżynierii wojskowej), robiłem szaleństwa, które Marion opowiedziała mi później. Zdaje się, że nie chciałem pozwolić, aby rzucano ziemię na trumnę matki, twierdząc, że jej zrobią co złego. Ale

Na te tak czarne barwy smutnego obrazu  
Trzeba spuścić zasłonę.<sup>19</sup>

Wskutek skomplikowanych charakterów mojej rodziny faktem jest, że wraz z matką skończyła się wszelka radość mego dzieciństwa.

---

<sup>19</sup> *Trzeba spuścić zasłonę* – Corneille, *Rodoguna*, akt II, sc. 3. [przypis redakcyjny]

# Rozdział V

## *Drobne wspomnienia pierwszego dzieciństwa*

W epoce, w której zajmowaliśmy pierwsze piętro przy placu Grenette, przed rokiem 1790 lub ściślej rzekłszy aż do połowy roku 1789, wuj mój, młody adwokat, miał ładne mieszkanie na drugim piętrze na rogu placu Grenette i ulicy Wielkiej. Bawił się często ze mną i pozwalał mi się oglądać, jak zdejmuje swoje piękne ubranie i kładzie szlafrok, wieczorem o dziewiątej, przed kolacją. Był to dla mnie rozkoszny moment; wracałem uszczęśliwiony na pierwsze piętro, niosąc przed nim srebrną pochodnię. Moja arystokratyczna rodzina uważałaby sobie za hańbę, gdyby świecznik nie był srebrny. Co prawda, nie zawierał on szlachetnej świecy, panowała wówczas łożówka. Ale łożówki te sprowadzano bardzo starannie, w skrzyniach, z okolic Briançon; żądano, aby była z łożu koziego, pisało się w tym celu w odpowiednim czasie do przyjaciela mieszkającego w górach. Widzę się jeszcze przy ceremonii odpakowania łożówek, jak jem chleb z mlekiem na srebrnej miseczce; słyszę zgrzytanie łyżki o mokre dno miseczki. Stosunki z owym przyjacielem z Briançon były to stosunki niemal homeryckie, naturalny skutek powszechnej nieufności i barbarzyństwa.

Mój wuj, młody, świetny, wesoły, uchodził za najmilszego chłopca w mieście, do tego stopnia, że w wiele lat później pani Delaunay, chcąc usprawiedliwić swoją mocno obciążoną cnotę,

powiadała: „A przecież nigdy nie uległam młodemu Gagnon”.

Wuj mój, powiadam, dworował sobie z powagi swego ojca, który, kiedy go spotykał w towarzystwie w bogatych sukniach, których nie zapłacił, był bardzo zdziwiony. „Wymykałem się czym prędzej” – dodawał wuj, który opowiadał mi te zdarzenia.

Jednego wieczora wbrew opozycji (ale kto byli ci oponenci przed 1790?) zaprowadził mnie do teatru. Dawano *Cyda*.

„Ależ ten dzieciak oszalał!” – rzekł kochany dziadek za moim powrotem. Jego zamiłowania literackie nie pozwoliły mu poważnie sprzeciwić się mojej wyprawie do teatru. Ujrzałem więc *Cyda*, ale o ile mi się zdaje, w strojach z błękitnego atłasu, w białych atłasowych trzewiczkach.

Wygłaszając stances, czy w innym miejscu, wywijając zbyt ogniście szpadą, Cyd zranił się w prawe oko.

„Jeszcze włos – powiadano wokoło mnie – a byłby sobie wybił oko”. Byłem w łoży parterowej, druga na prawo.

Innym razem wuj raczył mnie zaprowadzić na *Karawanę* z *Karru*. (Krępowałem go w jego manewrach dokoła pań. Zdawałem sobie z tego bardzo dobrze sprawę). Kiedym zobaczył wielbłądy, oszalałem zupełnie. *Infantka* z *Zamory*, w której tchórz czy też kuchcik nucił aryjkę, mając na głowie kask ze szczurem na wierzchu, oczarowała mnie. To był dla mnie prawdziwy komizm.

Powiadałem sobie, bardzo mętnie z pewnością i nie tak jasno, jak to piszę tutaj: „Wszystkie chwile mego wuja są tak rozkoszne jak te, których przyjemność dzielę w teatrze. Najpiękniejszą tedy

rzeczą w świecie jest być przystojnym mężczyzną jak mój wuj”. Nie mieściło się w mojej pięcioletniej głowie, aby mój wuj nie był tak samo szczęśliwy jak ja, patrząc na wielbłądy defilujące w *Karawanie*.

Ale poszedłem za daleko; zamiast być nadskakującym, byłem namiętny wobec kobiet, które kochałem, prawie obojętny, a zwłaszcza pozbawiony próżności wobec innych, stąd brak powodzenia i fiasko. Może żaden mężczyzna na dworze Cesarza nie miał mniej kobiet ode mnie, którego uważano za kochanka prezydentowej ministrów.

Teatr, dźwięk pięknego, poważnego dzwonu (tak jak w kościele... nad Rolle, w maju 1800, w drodze na przełęcz Św. Bernarda) czyniły zawsze na mnie głębokie wrażenie. Nawet msza, w którą wierzyłem tak mało, nastrajała mnie poważnie. Bardzo młodo jeszcze, z pewnością nim miałem dziesięć lat i przed bilecikiem księdza Gardon, byłem przekonany, że *God* gardzi tymi kuglarzami. (Po czterdziestu dwóch latach refleksji śledzę jeszcze ich mistyfikacje, zbyt korzystne dla tych, którzy je uprawiają, aby nie miały zawsze znaleźć naśladowców. Historia medalu, którą opowiedział przedwczoraj\*\*\*, grudzień 1835).

Pamiętam bardzo dokładnie i wyraźnie okrągłą i pudrowaną perukę dziadka z trzema rzędami pukli. Nie nosił nigdy kapelusza.

Strój ten przyczynił się, o ile mi się zdaje, do tego, że był znany i kochany u ludzi prostych, od których nigdy nie brał pieniędzy za pomoc lekarską.

Był lekarzem i przyjacielem większości szlacheckich domów. Pan de Chaléon (przypominam sobie jeszcze dźwięk dzwonów po jego śmierci w kościele Św. Ludwika), pan de Lacoste, który umarł na apopleksję, pan de Langon, bardzo dobrze urodzony, jak informowały akta; pan de Raxis, który był chory na świerzb i miał zwyczaj rzucać płaszcz na podłogę w pokoju mego dziadka; gdy kiedyś opowiadając o tym wymówiłem nazwisko pana de Raxis, dziadek połajał mnie w słowach pełnych umiaru; państwo des Adrets, pani de Valserre, ich córka, w której salonie po raz pierwszy *ujrzałem świat*. Siostra jej, pani de Mareste, wydawała mi się bardzo ładna i uchodziła za osobę nader lekką.

Dziadek był od dwudziestu pięciu lat, w epoce kiedy go znałem, duszą wszystkich pożytecznych przedsięwzięć, które, zważywszy dziecięstwo polityczne tych odległych czasów (1760), można było nazwać liberalnymi. Jemu zawdzięcza miasto bibliotekę. Nie była to mała rzecz. Trzeba było najpierw ją zakupić, potem umieścić, potem wyposażyć bibliotekarza.

Popierał, zrazu przeciw ich rodzinie, potem skuteczniej, wszystkich młodych ludzi, którzy okazywali zamiłowanie do nauk. Opornym rodzicom cytował przykład Vaucansona.

Kiedy dziadek wrócił z Montpellier do Grenobli (jako doktor medycyny), miał bardzo piękne kędziory, ale opinia publiczna z roku 1760 oświadczyła mu stanowczo, że jeżeli nie włoży peruki, nikt nie będzie miał do niego zaufania. Stara kuzynka, panna Didier, która zapisała majątek jemu i ciotce Elżbiecie i umarła

około 1788, była tego zdania. Ta zacna kuzynka częstowała mnie piernikami z szafranem, kiedy ją odwiedzałem w dzień św. Wawrzyńca. Mieszkała przy ulicy sąsiadującej z kościołem Św. Wawrzyńca. Na tej samej ulicy moja dawna piastunka Franusia, którą zawsze ubóstwiałem, miała sklepik korzenny; opuściła moją matkę, aby wyjść za mąż. Zastąpiła ją piękna Genowefa, jej siostra, z którą podobno ojciec mój romansował.

Pokój dziadka, na pierwszym piętrze od placu Grenette, pomalowany był zielono; w owym czasie ojciec powiadał mi: „Dziadek, człowiek tak inteligentny, nie ma poczucia artystycznego”.

Nieśmiały charakter Francuzów sprawia, że rzadko używają zdecydowanych kolorów: zielony, czerwony, niebieski, żółty; wolą odcienie niezdecydowane. Poza tym nie widzę, co by można było zganić w guście dziadka. Pokój jego był od południa, dużo czytał, chciał oszczędzić oczy, na które skarżył się czasami.

Ale czytelnik, o ile znajdą się czytelnicy na te bajędy, zrozumie z łatwością, że wszystkie moje komentarze, wyjaśnienia mogą być bardzo mylne. Mam tylko obrazy bardzo wyraźne; wszystkie zaś moje wyjaśnienia przychodzą mi dopiero przy spisywaniu tego, w czterdzieści pięć lat po wypadkach.

Mój przeczny dziadek, który w istocie był moim prawdziwym ojcem i najbliższym przyjacielem aż do chwili, kiedy około 1796 postanowiłem wyrwać się z Grenoble za pomocą matematyki, opowiadał czasami cudowną rzecz.

Matka moja, kazawszy mnie zanieść do jego pokoju

(zielonego) w dniu, gdy skończyłem rok, 23 stycznia 1784, postawiła mnie koło okna; dziadek, siedzący blisko łóżka, zawołał mnie: odważyłem się chodzić i doszedłem aż do niego.

Mówiłem nieco i na powitanie mówiłem: „hajty”. Wuj mój droczył się z siostrą swoją Henryką (moją matką) z powodu mojej brzydoty. Zdaje mi się, że miałem olbrzymią głowę bez włosów, że byłem podobny do ojca Brulard, sprytnego mnicha lubiącego dobrze żyć, trzęsącego zresztą swoim klaszturem. Był to mój stryj czy raczej stryjeczny dziadek, który umarł przede mną.

Byłem bardzo przedsiębiorczy; stąd dwa wypadki, które dziadek mój wspomina ze zgrozą i z żalem. Przy skale Portede-France kawałkiem zastruganego drzewa ukłułem muła, który miał tę beczelność, że mnie kopnął w pierś i przewrócił mnie. „Jeszcze odrobina, a byłby trup” – mówił dziadek.

Odtwarzam sobie ten wypadek, ale prawdopodobnie to nie jest wspomnienie bezpośrednie, raczej wspomnienie obrazu, jaki sobie wytworzyłem bardzo dawno, w epoce pierwszych opowiadań, jakie o tym słyszałem.

Drugim tragicznym wydarzeniem było to, że między matką a dziadkiem wybiłem sobie dwa przednie zęby, spadając z krzesła. Pocziwy dziadek nie mógł wyjść ze zdumienia. „Między matką a mną!” – powtarzał, jakby biadając nad siłą fatalności.

Znamienne dla mnie w tym mieszkaniu na pierwszym piętrze było to, że słychać było zgrzypienie<sup>20</sup> sztaby żelaznej, za pomocą której pompowano wodę. Ten przeciągły, ale nieostrzy zgrzyt

---

<sup>20</sup> zgrzypienie – dziś: skrzywienie. [przypis edytorski]

bardzo mi się podobał.

Zdrowy rozum Delfinatu zbuntował się po trosze przeciw dworowi. Przypominam sobie bardzo dobrze wyjazd dziadka do Stanów w Romans. Był wówczas bardzo poważnym patriotą, ale nader umiarkowanym: wyobraźcie sobie Fontenelle'a jako trybuna ludu.

W dniu wyjazdu mróz był taki, że „kamienie pękały” (była to – sprawdzić – owa pamiętna zima roku 1789 na 1790), było na stopę śniegu na placu Grenette.

Na kominku w pokoju dziadka palił się olbrzymi ogień. Pokój był pełen przyjaciół, którzy chcieli go widzieć na wsiadającym do powozu. Najślawniejszy adwokat tutejszy, wyrocznia prawa – ładne stanowisko w mieście, gdzie był parlament – pan Barthélemy d'Orbane, bliski przyjaciel rodziny, stał obok mnie, przed migocącym ogniem. Byłem bohaterem chwili, bo jestem przekonany, że dziadek żałował w Grenoble tylko mnie i kochał tylko mnie.

W tej okoliczności pan Barthélemy d'Orbane nauczył mnie robić miny. Widzę go jeszcze i siebie także. Jest to sztuka, w której poczyniłem najszybsze postępy; śmiałem się sam z min, które robiłem dla rozśmieszenia innych. Próżno sprzeciwiano się wciąż rosnącej modzie na miny; trwa ona jeszcze; często śmieję się z min, jakie robię, kiedy jestem sam.

Przechodzi ulicą, mizdrząc się, jakiś dudek (na przykład pan Lysi[maque] albo hrabia\*\*\*, kochanek pani Del Monte); naśladuję jego minę i śmieję się. Raczej skłonny jestem

naśladować ruchy, lub raczej miny, twarzy niż ruchy całej postaci. W Radzie Stanu naśladowałem bezwiednie i w bardzo niebezpieczny dla siebie sposób nadętą minę słynnego hrabiego Regnault de Saintp Jean-D'Angély siedzącego o trzy kroki ode mnie, zwłaszcza kiedy, aby lepiej słyszeć cholerycznego księdza Louis siedzącego po drugiej stronie sali naprzeciw niego, obciągał straszliwie długi kołnierz u koszuli. Ten zmysł czy ta sztuka, którą zawdzięczam panu d'Orbane, zrobiła mi wielu nieprzyjaciół. Obecnie roztropny di Fiori wyrzuca mi ukrytą albo raczej źle ukrytą ironię, widoczną mimo mej woli w prawym kąciku ust.

W Romans brakło dziadkowi jedynie pięciu głosów do zostania posłem. „To byłaby moja śmierć” – powtarzał często, winszując sobie, że odmówił głosów licznych wieśniaków, którzy mieli do niego zaufanie i przychodzili się go radzić rano. Jego rozsądek à la Fontenelle bronił go od ambicji; mimo to lubił kropnąć jakąś mówkę przed dobranym audytorium, na przykład w bibliotece. Widzę się tam jeszcze, jak go słucham w przepelnionej pierwszej sali, która wówczas zdawała mi się olbrzymia. Ale skąd tyle ludzi? Z jakiej okazji? Tego obraz mi nie mówi; to tylko obraz.

Dziadek opowiadał mi często, że w Romans atrament jego – mimo że kałamarz stał na dobrze ogrzanym kominku – marzył mu na końcu pióra. Nie wybrano go, ale przeprowadził wybór jednego czy dwóch posłów, których nazwisk zapomniałem; ale dziadek nie zapominał usługi, którą im oddał, i śledził ich z dala

na obradach, potępiając ich energię.

Lubiłem bardzo pana d'Orbane, jak również grubego kanonika, jego brata; odwiedzałem ich na placu Lipowym albo pod sklepieniem, które z placu Matki Boskiej prowadzi na plac Lipowy, o dwa kroki od kościoła Matki Boskiej, gdzie kanonik odprawiał mszę. Ojciec albo dziadek posyłali sławnemu adwokatowi tłuste indyki na Boże Narodzenie.

Lubiłem też bardzo ojca Ducros, byłego kordeliera (z klasztoru znajdującego się między parkiem miejskim a pałacem Franquières'ów w stylu odrodzenia, o ile sobie przypominam).

Lubiłem także miłego księdza Chélan, proboszcza w Risset koło Claix; chuderlawy człowiek, same nerwy, sam ogień, iskrzący się dowcipem, już niemłody – mnie wydawał się stary, ale miał może czterdzieści albo czterdzieści pięć lat. Rozmowy jego przy stole bawiły mnie niezmiernie. Nie omieszkał nigdy przyjść do dziadka na obiad, kiedy był w Grenoble; obiad był wtedy o wiele weselszy niż zazwyczaj.

Jednego dnia przy wieczerzy mówił od trzech kwadransów, trzymając w ręce łyżkę poziomek. Wreszcie zaniósł łyżkę do ust.

– Księżę proboszczu, nie będzie ksiądz mógł odmówić mszy jutro – rzekł dziadek.

– Za pozwoleniem, odmówię ją jutro, ale nie dziś, bo już minęła północ.

Rozmowa ta przepełniła mnie radością na cały miesiąc, wydawała mi się fajerwerkiem dowcipu. Oto dowcip dla ludu albo dla młodego chłopca, ci mają wrażliwość – porównaj repliki

podziwiane przez Bokacjusza lub przez Vasarięgo.

Dziadek mój w owych szczęśliwych czasach brał religię bardzo wesoło, a ci księża dzielili te pojęcia. Zrobił się smutny i dość religijny po śmierci mojej matki (w 1790), a i to, jak sędzę, przez słabą nadzieję odnalezienia jej – spotkania – na tamtym świecie, jak pan de Broglie, który mawiał o swojej miłej córce zmarłej w trzynastym roku: „Mam uczucie, że moja córka jest w Ameryce”.

Zdaje mi się, że ksiądz Chélan był u nas na obiedzie w „dniu dachówek<sup>21</sup>”. Tego dnia widziałem pierwszą krew rozlaną przez rewolucję francuską. Był to nieszczęśliwy robotnik kapelusznik raniony śmiertelnie bagnetem w krzyże.

Wstaliśmy od stołu w środku obiadu. Poszukam daty tego dnia w jakiejś chronologii. Obraz mam bardzo jasny, jest może temu jakich czterdzieści trzy lat.

Pan de Clermont-Tonnerre, gubernator Delfinatu, zajmujący pałac gubernatorski – osobno stojący dom wychodzący na wały (ze wspaniałym widokiem na zbocza Eybens, widok spokojny i piękny, godny Klaudiusza Lorrain, wjazd pięknym dziedzińcem od ulicy Nowej blisko ulicy Morw) – chciał, o ile mi się zdaje, rozpędzić zbiegowisko; były tam dwa pułki, przeciw którym lud bronił się dachówkami zrzucanymi z dachów, skąd nazwa „dzień dachówek”.

Jednym z podoficerów tego pułku był Bernadotte, dziś król szwedzki, dusza równie szlachetna jak Murat, król Neapolu, ale

---

<sup>21</sup> „dzień dachówek” – 7 czerwca 1788. [przypis autorski]

o ileż zręczniejszy! Lefevre, perukarz i przyjaciel mego ojca, często nam opowiadał, że ocalił życie generałowi Bernadotte (jak powiadał w 1804) osaczonemu w jakiejś bramie. Lefevre był to piękny i dzielny mężczyzna, marszałek Bernadotte posłał mu jakiś upominek.

Ale to wszystko to jest historia, opowiadana co prawda przez naocznych świadków, ale której ja nie widziałem. Pragnę opowiadać na przyszłość – w Rosji i gdzie indziej – tylko to, co *widziałem*.

Rodzice moi wstali od stołu w połowie obiadu; byłem sam w oknie jadalni lub raczej w oknie pokoju wychodzącego na ulicę. Ujrzałem starą kobietę, która trzymając w rękach swoje stare trzewiki, krzyczała z całych sił: „Bontuję się! Bontuję się!”. Pocieszność tego buntu – stara kobieta przeciw pułkowi – uderzyła mnie. Tego samego wieczora dziadek opowiedział mi śmierć Pyrrusa.

Myślałem jeszcze o tej staruszce, kiedy mnie pochłoneło tragiczne widowisko. Robotnik kapelusznik, raniony w krzyże bagnietem, jak mówiono, szedł z wielkim trudem, podtrzymywany przez dwóch ludzi, na których ramionach zawisł. Był rozebrany, koszula jego i gacie były pełne krwi. Widzę go jeszcze: rana, z której krew płynęła obficie, była w okolicy krzyżów, mniej więcej na wysokości pępka.

Prowadzono go z trudem, aby go zanieść do jego pokoju, na szóstym piętrze domu pana Périer; zanim tam przybył, umarł.

Rodzice połajali mnie, odciągnęli mnie od okna, abym nie

widział tego okropnego obrazu, ale wracałem ciągle. Okno to było na bardzo niskim pierwszym piętrze.

Widziałem tego nieszczęśliwego na wszystkich piętrach domu pana Périer, schody miały wielkie okna wychodzące na plac.

Wspomnienie to, rzecz zrozumiała, jest najżywsze, jakie mi zostało z tych czasów.

Z wielkim trudem natomiast odnajduję ślady wspomnienia fajerwerku w Fontanil (droga z Grenoble do Voreppe), gdzie spalono „Lamoignona<sup>22</sup>”. Żałowałem bardzo widoku wielkiej słomianej figury; faktem jest, że rodzice moi, *dobrze myślący* i bardzo niechętni wszystkiemu, co się oddalało od *porządku* („Porządek panuje w Warszawie” – rzekł generał Seb[astiani] około roku 1832<sup>23</sup>), nie chcieli, abym zachował w pamięci te dowody gniewu albo siły ludu. Ja, już w tym wieku, byłem przeciwnego zdania; lub też moje zapatrywania z lat ośmiu kryją się pod tymi – bardzo zdecydowanymi – jakie miałem w dziesiątym roku.

Jednego razu panowie Barthélemy d'Orbane, kanonik Barthélemy, ksiądz Rey, pan Bouvier, wszyscy mówili u dziadka o bliskim przybyciu marszałka de Vaux.

„Przybędzie tu krokiem baletowym” – rzekł dziadek, a

---

<sup>22</sup> spalono „Lamoignona” – Jako wyraz protestu przeciwko przygotowanym przez ministra Ch. Lamoignon w 1788 r. edyktom ograniczającym m.in. uprawnienia parlamentów i wprowadzającym powszechny podatek gruntowy. [przypis autorski]

<sup>23</sup> „Porządek panuje w Warszawie” (...) około roku 1832 – Słowa te wypowiedział w Izbie Deputowanych ówczesny minister spraw zagranicznych Francji na wieść o kapitulacji Warszawy 8 września 1831. [przypis redakcyjny]

powiedzenie to, którego nie rozumiałem, dało mi wiele do myślenia. Co mogło być wspólnego (powiadałem sobie) między starym marszałkiem a baletem?

Umarł; majestatyczny dźwięk dzwonów wzruszył mnie głęboko. Zaprowadzono mnie do jasno oświetlonej kaplicy (zdaje mi się, że w pałacu gubernatorskim, w pobliżu ulicy Morw, bardzo mgliste wspomnienie); widok tej czarnej krypty o zasłoniętych oknach, oświeconej w biały dzień mnóstwem świec, uderzył mnie. Pierwszy raz objawiło mi się pojęcie śmierci. Zaprowadził mnie tam Lambert, służący dziadka, a mój wielki przyjaciel. Był to młody i przystojny chłopak, bardzo sprytny.

Któryś z jego przyjaciół rzekł doń: „Córka marszałka to straszna skąpitura, sukno, które daje doboszom na pokrycie bębna, nie wystarczy im na parę spodni. Dobosze skarżą się bardzo; jest zwyczaj dawać tyle, ile potrzeba na spodnie”. Za powrotem do domu słyszałem, jak rodzice też mówili o skąpstwie marszałkówny.

Nazajutrz był dla mnie dzień wielkiej batalii; uzyskałem z wielkim trudem, o ile mi się zdaje, aby Lambert zaprowadził mnie w jakieś miejsce, skąd mógłbym widzieć pogrzeb. Był olbrzymi tłum. Widzę się między gościńcem a rzeką, blisko pieca wapiennego, o dwieście kroków na wschód od Porte-de-France.

Dźwięk bębnow przykrytych skrawkiem czarnego sukna, niedostatecznym, aby uszyć spodnie, wzruszył mnie bardzo. Ale oto nowa historia: znajdowałem się na lewym krańcu

pułku austriackiego (uniform, zdaje mi się, biały, wyłogi czarne), Lambert prowadził mnie za rękę. Byłem o sześć cali od ostatniego żołnierza, gdy ten rzekł do mnie nagle: „Odsuń się trochę, kiedy będziemy *strzelać*, żebyśmy nie zrobili ci co złego”.

Więc będą strzelać! Tyłu żołnierzy! Broń mieli gotową.

Umierałem ze strachu; zerkałem z dala na czarny wóz, który posuwał się wolno kamiennym mostem, ciągniony przez sześć czy osiem koni. Czekałem z drżeniem salwy. Wreszcie oficer wydał krzyk, a tuż potem nastąpiła salwa. Spadł mi z piersi wielki ciężar. W tej chwili tłum rzucił się w stronę karawanu, który ujrzałem z wielką przyjemnością; zdaje mi się, że były tam świece.

Oddano drugą, może trzecią salwę za Porte-de-France, ale byłem już oswojony.

Zdaje mi się, przypominam sobie trochę wyjazd do Vizille (Stany prowincjonalne w zamku Vizille zbudowanym przez konetabla de Lesdiguières). Dziadek mój ubóstwiał starożytności; sposób, w jaki mówił o tym zamku, obudził we mnie wspaniałe pojęcie o nim. Byłem bliski obudzenia w sobie czci dla szlachty, ale niebawem panowie de Saint-Ferréol i de Sinard, moi koledzy, uleczyli mnie z tego.

„Młody Mounier”, jak powiadał mój dziadek, bywał u nas. Nagłe rozłączenie było powodem, że córka jego i ja nie pokochaliśmy się gwałtownie wzajem w ostatniej godzinie, jaką spędziłem w bramie przy ulicy Montmartre, w pobliżu bulwaru, w czasie ulewy, w roku 1803 albo 1804, kiedy pan Mounier objął

funkcje prefekta w Rennes. (Moje listy do jego syna Edwarda, list Wiktoryny do mnie. Najlepsze jest, że Edward, o ile mi się zdaje, przypuszcza, że ja pojechałem do Rennes).

Mały, sztywny i licho malowany portrecik znajdujący się w pokoju sąsiadującym z biblioteką publiczną w Grenobli i przedstawiający pana Mounier, o ile się nie mylę, w mundurze prefekta, jest podobny. Twarz z charakterem, ale ciasna głowa. Syn jego, z którym wiele przestawałem w roku 1803 i w Rosji w 1812 (Wiaźma), jest to płaski, sprytny i zręczny filut, prawdziwy typ delfinacki, tak samo jak minister Kazimierz Perier, ale ten ostatni trafił na jeszcze lepszego od siebie.

Edward Mounier ma lokalny, rozwlekły akcent, mimo że wychowany w Weimarze; jest parem Francji i baronem i dzielnie sędzi w Trybunale paryskim (1835, grudzień). Czy mi czytelnik uwierzy, gdy dodam, że nie chciałbym być na miejscu panów Feliksa Faure i Mouniera, parów Francji i niegdyś moich przyjaciół?

Dziadek mój, tkliwy i oddany przyjaciel wszystkich młodych garnących się do pracy, pożyczał książek panu Mounier i bronił go od nagan jego ojca. Czasami przechodząc ulicą zachodził do jego sklepu i mówił mu o synu. Stary sukiennik, który miał kupę dzieci i myślał tylko o tym, co praktyczne, patrzył ze straszną zgrzyotą, że syn traci czas na czytaniu.

Siłą młodego Mounier był charakter, ale inteligencja jego nie była na tej samej wysokości. Dziadek opowiadał nam ze śmiechem w kilka lat później, że kiedy pani Borel, która miała

być teściową pana Mounier, przyszła kupić sukna, Mounier, subiekt u własnego ojca, rozwinął sztukę, miał w palcach sukno i dodał:

– To sukno sprzedajemy po dwadzieścia siedem franków łokieć.

– Więc dobrze, proszę pana, dam panu dwadzieścia pięć – rzekła pani Borel.

Na co Mounier zwinął sztukę i odniósł ją spokojnie na półkę.

– Ależ panie! – rzekła pani Borel zdziwiona – dałabym zresztą dwadzieścia pięć i pół.

– Szanowna pani, uczciwy człowiek ma tylko jedno słowo.

Kumosia była wielce zgorszona.

Ta sama sympatia do pracy u młodych ludzi, która dziś uczyniłaby mego dziadka tak podejrzanym, kazała mu się zająć młodym Barnave. Barnave był naszym sąsiadem na wsi, on w Saint-Robert, a my w Saint-Vincent (droga z Grenobli do Voreppe i Lyonu). Serafia nie cierpiała go; rychło potem cieszyła się z jego śmierci i z nędzy, w jakiej zostały jego siostry, z których jedna, zdaje mi się, nazywała się pani Saint-Germain. Za każdym razem, kiedyśmy przejeżdżali przez Saint-Robert: „A, tu mieszka Barnave” – mówiła ciotka Serafia i robiła kwaśną minę dewotki. Mój dziadek, bardzo lubiany wśród szlachty, był wyrocznią mieszczaństwa i sądzę, że uspokajał matkę nieśmiertelnego Barnave, która z przykrością patrzyła, jak syn zaniedbuje adwokaturę dla Mably'ego i Monteskiusza. W owym czasie krajan nasz, Mably, miał niejaką cenę, a w dwa lata

potem nazwano od niego ulicę des Clercs<sup>24</sup>.

---

<sup>24</sup> *Rozdział V (...) ulicę des Clercs – [Na marginesie (tej strony i następnych)]: 19 grudnia, Filharmonia, before my chair Amalia Betti[ni], with her an young man of Felsina...* [przed moim krzesłem Amalia Bettini z młodym mężczyzną z Felsiny; red. WL] 20 grudnia: wczoraj wieczorem, Filharmonia, *before my chair Amalia Betti[ni]*. Uzupełnić: tajemnica fortuny panów Rothschild odgadnięta przez Dominika 23 grudnia 1835. Sprzedają to, czego wszyscy potrzebują: renty, co więcej, zrobili się ich fabrykantami (*id est* rozpisując pożyczki). Trzeba by wyszukać plan Grenobli i wkleić go tutaj. Zażądać aktów zgonu rodziców – w ten sposób będę miał daty – i aktu narodzin *my dearest mother* [mojej najdroższej matki; red. WL] i mojego dziadka. Grudzień 1835. Kto myśli o nich dzisiaj prócz mnie? A zwłaszcza z jaką tkliwością myślę o mojej matce, zmarłej przed czterdziestoma sześcioma laty. Mogę więc swobodnie mówić o ich wadach. To samo dotyczy pani baronowej de Barcoff, pani Aleks. Petit, pani baronowej Dembowskiej (jak dawno już nie pisałem tego nazwiska!), Wirginii, dwóch Wiktoryn, Angeli, Melanii, Aleksandry, Metyldy, Klementyny, Julii, Alberty de Rub[empré] (uwielbianej tylko przez miesiąc). W. 2W. A.(+) M.(+) A. M. K.(+) J.(+) A.(+) Człowiek bardziej trzeźwy napisałby: A. M. K. J. A. Prawo, jakie mam do pisania tych pamiętników: któż nie pragnie, żeby o nim pamiętano? [20 grudnia 1835] Rzeczy do wstawienia w odpowiednim miejscu, zanotowane tu dla pamięci: nominacja na inspektora ruchomości, po stronie 254 według obecnej numeracji. Zacząłem łacinę w siódmym roku życia, a więc w 1790. Rzeczy zapisane tutaj dla pamięci wstawić w odpowiednim miejscu: dlaczego Omar [*Omar*: Roma, tj. Rzym; red. WL] mi ciąży. Dlatego, że wieczorami nie mam towarzystwa, które by było dla mnie rozrywką po myślach całego dnia. Kiedy coś robiłem w Paryżu, pracowałem aż do zawrotu głowy i odrętwienia. Punktualnie o szóstej trzeba jednak było pójść na kolację, bo później było to niewygodne dla służby w restauracji, zwłaszcza gdy była to kolacja za trzy franki pięćdziesiąt, co mi się często zdarzało ku memu upokorzeniu. Następnie szedłem do któregoś z salonów; jeżeli nie był wyjątkowo nędzny, znajdowałem tam całkowite odprężenie po robocie, tak dalece, że wracając do domu o pierwszej nie pamiętałem już, nad czym rano pracowałem. [20 grudnia 1835] Poranne zmęczenie. Oto pod jakim względem Omar mi nie wystarcza: towarzystwo jest tak nudne (pani Sandre, *the mother of Marietta*), hrabina Koven, księżna de Da... nie są warte, żeby dla nich wsiąść do powozu. Wszystko to nie może mnie rozerwać po zajęciach porannych i wskutek tego, kiedy następnego dnia

---

siadam do pracy, to zamiast być świeży i wypoczęty, jestem zmęczony, zniszczony. Po kilku dniach takiego życia czuję wstręt do pracy, wszystkie moje myśli zużywają się od nieustannego wysiłku. Jadę wtedy na dwa tygodnie do Civitavecchia lub do Rawenny (październik 1835). Jest to przerwa zbyt długa i wszystko przez ten czas zapominam. Oto dlaczego *Zielony strzelec* tak się wlecze, oto dlaczego, nie mówiąc już o zupełnym braku dobrej muzyki, Omar nie jest dla mnie miejscem odpowiednim. [przypis autorski]

## Rozdział VI

Po śmierci mojej matki dziadek był w rozpacz. Widzę (ale dopiero dziś), że był to charakter w typie Fontenelle'a, skromny, przezorny, dyskretny, bardzo miły i wesoły przed śmiercią ukochanej córki. Później zamykał się często w milczeniu. Kochał na świecie tylko tę córkę i mnie.

Druga jego córka, Serafia, nudziła go i męczyła; kochał przede wszystkim spokój, a ona żyła samymi scenami. Dobry dziadek w poczuciu swojej powagi ojcowskiej wyrzucał sobie, że nie pokazuje zębów (zachowuję wyrażenia lokalne; później może przełożę je na paryską francuszczyznę, na razie zachowuję je, aby sobie lepiej uprzytomnić szczegóły, które mi się cisną). Dziadek szanował (bojąc się jej po trosze) swoją siostrę, która za młodu bardziej od niego kochała drugiego brata, zmarłego w Paryżu; rzecz, której dziadek nigdy jej nie darował, ale przy jego charakterze à la Fontenelle, miłym i zgodnym, nie objawiało się to w niczym; odgadłem to później.

Dziadek wyraźnie nie lubił swego syna Romana, mego wuja, świętego i miłego młodzieńca.

Zdaje się, że właśnie te przymioty stały między ojcem a synem. To byli – ale każdy w innym rodzaju – najświetniejsi mężczyźni w mieście. Dziadek był pełen taktu w swoich conceptach, a dowcip jego, wytworny i zimny, mógł ujść niepostrzeżony. Był zresztą studnią wiedzy na owe czasy,

w których kwitła najpociesznieszka ignorancja. Głupcy lub zazdrośnicy (panowie Champel, Tournus (rogacz), Tourte) bez ustanku przez zemstę komplementowali go za jego pamięć. Znał, wielbił i cytował ulubionych autorów na wszystkie okazje.

„Mój syn nic nie czyta” – powiadał czasami zgryźliwie. To była szczerza prawda, ale nie sposób było nudzić się w towarzystwie, gdzie był młody Gagnon. Ojciec dał mu w swoim domu śliczne mieszkanie i pokierował go na adwokata. W mieście sądowniczym wszyscy lubili pieniactwo, żyli z pieniactwa i robili koncepty na pieniactwo. Znam jeszcze sporo konceptów na ten temat.

Dziadek dawał synowi mieszkanie i życie; prócz tego pensję, 100 franków miesięcznie – olbrzymia suma na Grenoble w roku 1789 – na drobne przyjemności; wujaszek zaś sprawiał sobie ubrania haftowane po 3000 franków i utrzymywał aktorki.

Na wpół tylko odślaniam te rzeczy, które odgadywałem z półśłówek dziadka. Przypuszczam, że wujaszek dostawał prezenty od swoich kochanek bogatych i że za te pieniądze ubierał się suto i utrzymywał swoje kochanki ubogie. Trzeba wiedzieć, że w naszym mieście i w owym czasie nie było nic złego w tym, aby przyjmować pieniądze od pani Dulauron albo od pani de Marcieu, albo od pani de Sassenage, byle je wydać *hic et nunc*<sup>25</sup> i nie ciułać ich. *Hic et nunc* to wyrażenie, które Grenoble zawdzięczała swemu Parlamentowi.

Nieraz zdarzyło się, że dziadek, przybywszy do pana

---

<sup>25</sup> *hic et nunc* (łac.) – niezwłocznie. [przypis redakcyjny]

de Quinsonnas albo do innego domu, spostrzegął młodego człowieka bogato ubranego i otoczonego kołem słuchaczy: to był jego syn.

„Ojciec nie znał tego mojego ubrania – opowiadał mi wuj – wymykałem się tedy co prędzej i biegłem do domu, aby wdziać skromny fraczek. Kiedy ojciec mówił mi: «Bądź tak łaskaw powiedzieć mi, skąd ty bierzesz pieniądze na te stroje?», «Szczęśliwie gram» odpowiadałem. «Ale w takim razie czemu nie płacisz swoich długów?» A pani X albo pani Y chciała mnie widzieć w pięknym ubraniu, które mi kupiła! – dodawał wujaszek. – Wykpiwałem się przed ojcem jakimś conceptem”.

Nie wiem, czy mój czytelnik z roku 1880 zna powieść bardzo jeszcze sławną dzisiaj. *Niebezpieczne związki* napisał w Grenoble pan Choderlos de Laclos, oficer artylerii, odmalował w nich życie Grenoble.

Znałem jeszcze panią de Merteuil; była to pani de Montmaur, która mi dawała smażone orzechy, osoba kulawa, mająca dom Drevonów w Chevallon, niedaleko kościoła Św. Wincentego, pomiędzy Fontanil a Voreppe, ale bliżej Fontanil. Posiadłość pani de Montmaur (lub wynajęta przez panią de Montmaur) znajdowała się naprzeciwko domu pana Henryka Gagnon. Bogata, młoda osóbką, która schroniła się do klasztoru, to musiała być panna de Blacons z Voreppe. Rodzina ta może służyć za wzór przez swój smutek, swoją dewocję, surowość życia i klerykalizm lub raczej mogła służyć za wzór w roku 1814, kiedy Cesarz posłał mnie jako komisarza do siódmej dywizji

wraz ze starym senatorem, hrabią de Saint-Vallier, jednym ze złotych młodzieńców z epoki mego wujaszka; ten mówił mi dużo o nim jako o człowieku, dla którego robiły szaleństwa panie X i Z, zapomniałem nazwisk. Wówczas płonąłem świętym ogniem i myślałem jedynie o tym, jak odeprzeć Austriaków lub przynajmniej nie pozwolić im, aby wkroczyli zbyt rychło.

Widziałem tedy ten schyłek obyczajów pani de Merteuil, tak jak dziecko dziewięcio- lub dziesięcioletnie, pożerane płomiennym temperamentem, może widzieć te rzeczy, o których każdy strzeże się przed nim pisać słówko.

## Rozdział VII

Rodzina składała się tedy w epoce śmierci mojej matki, około roku 1790, ze starszego pana Gagnon (sześćdziesiąt lat), Romana Gagnon, jego syna (dwadzieścia pięć lat), Serafii, jego córki (dwadzieścia cztery lata), Elżbiety, jego siostry (sześćdziesiąt cztery lata), Cherubina Beyle, jego zięcia (czterdzieści trzy lata), Henryka, jego syna (siedem lat), Pauliny, jego córki (cztery lata), Zenajdy, jego córki (dwa lata).

Oto osoby smutnego dramatu mojej młodości, która przywodzi mi na pamięć prawie same cierpienia oraz głębokie udręki duchowe. Ale przejdźmy po trosze charaktery tych osób.

Dziadek mój, Henryk Gagnon (sześćdziesiąt lat); córka jego, Serafia, ten czart w spódnicy, której wieku nigdy nie umiałem odgadnąć, mogła mieć dwadzieścia dwa albo dwadzieścia cztery lata; siostra jego, Elżbieta Gagnon (sześćdziesiąt cztery lata), wysoka, chuda i sucha kobieta, piękna twarz o włoskim typie, charakter na wskroś szlachetny, ale ze wszystkimi hiszpańskimi wyrafinowaniami i skrupułami sumienia. Urobiła mnie w tym duchu; ciotce Elżbiecie zawdzięczam wstrętne oszukaństwo szlachetności branej z hiszpańska, w których grzążłem przez pierwsze trzydzieści lat życia. Podejrzewam, że ciotka Elżbieta, bogata (jak na Grenoble), została panną wskutek jakiejś nieszczęśliwej miłości. Słyszałem coś w tym rodzaju z ust ciotki Serafii bardzo młodo.

Dopełniał wreszcie rodziny mój ojciec.

Józef Cherubin Beyle, adwokat przy miejscowym Parlamencie, reakcjonista i kawaler Legii Honorowej, zastępca mera, zmarł w roku 1819 w wieku, jak mówią, lat siedemdziesięciu dwóch, z czego wniosek, że urodził się w 1747. Miał zatem w 1790 czterdzieści trzy lata.

Był to człowiek bardzo mało sympatyczny, wciąż rozmyślający o kupnie i sprzedaży gruntów, bardzo szczwany, nawykły kupować od chłopów i sprzedawać im, typ arcydelfinacki. Nie było nic mniej hiszpańskiego i mniej skłonnego do porywów szlachetności niż ta dusza; toteż ciotka Elżbieta miała doń zdecydowaną antypatię. Był, co więcej, bardzo pomarszczony i brzydki, nieswój i milczący z kobietami, których jednak potrzebował.

Ta ostatnia cecha obudziła w nim gust do *Nowej Heloizy* i innych pism Russa, o których mówił z prawdziwym uwielbieniem, przeklinając go równocześnie jako bezbożnika, śmierć bowiem mojej matki wtrąciła go w najniedorzeczniejszą dewocję. Nałożył sobie obowiązek odmawiania wszystkich modłów, które odmawiają księża; przez kilka lat była nawet mowa o wstąpieniu do klasztoru, prawdopodobnie powstrzymała go chęć zostawienia mi swojej kancelarii. Miał zostać adwokatem konsystorskim; było to zaszczytne wyróżnienie, o którym mówił tak, jak młody porucznik grenadierów mówi o krzyżu Legii. Nie kochał mnie jako indywiduum, ale jako syna mającego utrwalić jego ród.

Bardzo trudno było, aby mnie kochał: *primo*, widział jasno, że ja go nie kocham; nigdy nie odzywałem się doń bez potrzeby, obcy był wszystkim owym pięknym ideom literackim i filozoficznym, które stanowiły treść moich pytań zadawanych dziadkowi oraz wybornych odpowiedzi tego miłego starca. Widywałem ojca bardzo rzadko. Moja żądza opuszczenia Grenoble (to znaczy jego) oraz moja pasja do matematyki – jedyny środek dający mi nadzieję opuszczenia tego miasta, które mi było wstrętne i którego jeszcze nienawidzę, tam bowiem nauczyłem się znać ludzi – moja pasja matematyczna pograżyła mnie w głębokiej samotności od 1797 do 1799. Mogę rzec, że pracowałem przez te dwa lata, a nawet przez część roku 1796, jak Michał Anioł pracował nad Kaplicą Sykstyńską.

Od czasu mego wyjazdu z końcem października 1799 – przypominam sobie datę, ponieważ 18 brumaire'a, 9 listopada, znajdowałem się w Nemours – łączyły mnie z ojcem jedynie sprawy pieniężne. Chłód ciągle wzrastał: nie mógł rzec słowa, które by mi nie było antypatyczne. Nie było dla mnie wstrętniejszej rzeczy niż sprzedać kawał gruntu chłopu, kręcąc przez tydzień, aby zarobić 300 franków, a to była jego namiętność.

Nic naturalniejszego. Ojciec jego, który nosił, o ile mi się zdaje, wielkie imię Piotra Beyle, umarł z podagry w Claix, niespodzianie, w sześćdziesiątym trzecim roku. Ojciec mój, mając lat osiemnaście (było to zatem około roku 1765), został się z kawałkiem ziemi w Claix dającym 800 czy 1800 franków,

posadą prokuratora i dziesięcioma siostrami do wydania oraz matką swoją, bogatą dziedziczką (to znaczy mającą może 60 000 franków) i jak przystało bogatej dziedzicze, rozkapryszoną. Długi czas jeszcze była mnie w dzieciństwie po twarzy, kiedy pociągnąłem za ogon jej psa Azora (piesek boloński z długą białą sierścią). Pieniądz był wtedy, i słusznie, główną myślą ojca, a ja myślałem o pieniądzach zawsze jedynie ze wstrętem. Pojęcie to jest mi nad wyraz przykre, gdyż mieć pieniądze nie sprawia mi żadnej przyjemności, a nie mieć ich to szpetne nieszczęście.

Nigdy może traf nie skupił dwóch natur bardziej odpychających się wzajem jak mój ojciec i ja.

Stąd brak wszelkich przyjemności w moim dzieciństwie od 1790 do 1799. Ten wiek, który wszyscy mienią wiekiem czystego szczęścia, był dla mnie dzięki memu ojcu jedynie pasmem przykrości i wstrętów. Dwa diabły srożyły się nad mym biednym dzieciństwem, ciotka Serafia i ojciec, który od roku 1791 stał się jej niewolnikiem.

Czytelnik może się uspokoić co do opowiadań moich niedoli; przede wszystkim może opuścić kilka kartek i błagam go, aby to uczynił, piszę bowiem zupełnie na ślepo rzeczy nudne może nawet na rok 1835, a cóż dopiero będzie w 1880?

Po wtóre, nie mam prawie żadnych wspomnień ze smutnej epoki 1790–1795, w czasie której byłem biednym, małym, prześladowanym berbeciem, wciąż łajany z lada powodu i wspieranym jedynie przez filozofa à la Fontenelle, który nie chciał wypowiadać wojny z mego powodu, tym więcej że w tych

utarczkach powaga jego kazała mu podnosić głos – rzecz, do której miał najwyższy wstręt. Ciotka Serafia, która nie wiem czemu znienawidziła mnie, wiedziała również o tym.

W dwa lub trzy tygodnie po śmierci matki ojciec i ja wróciliśmy do smutnego domu. Spałem w lakierowanym łóżeczku podobnym do klatki, w alkowie ojca. Oddalił służbę i jadał u dziadka, który nigdy nie chciał przyjąć za to pieniędzy. Sądzę, że to przez wzgląd na mnie dziadek mój zgodził się na ciągłe towarzystwo człowieka tak mu antypatycznego.

Łączyło ich jedynie uczucie głębokiej bólesci. Po śmierci mojej matki rodzina zerwała wszystkie stosunki towarzyskie i, ku mojej najgłębszej nudzie, żyła w zupełnym odosobnieniu.

Pan Joubert, góral, mój bakałarz, który mnie uczył początków łaciny Bóg wie jak głupio, kazał mi recytować wciąż wstępne reguły – rzecz, przed którą wzdragala się moja inteligencja, a miałem jej podobno dużo – umarł. Chodziłem do niego na lekcje na placyk Matki Boskiej; mogę rzec, że ani razu nie przechodziłem tamtędy, aby sobie nie przypomnieć matki i cudownie wesołych dni, jakie pędziłem za jej życia. Obecnie nawet mój poczciwy dziadek, kiedy mnie całował, budził we mnie wstręt.

Pedant Joubert o strasznej twarzy zostawił mi jako legat drugi tom francuskiego przekładu Quintusa Kurcjusza, owego płaskiego Rzymianina, który napisał żywot Aleksandra.

Ten okropny pedant, przeraźliwie wysoki, przeraźliwie chudy, zawsze w długim czarnym surducie, brudnym i podartym, nie

był wszakże w gruncie zły.

Ale następca jego, ksiądz Raillane, był w całym znaczeniu tego słowa łajdakiem. Nie twierdzę, aby popełnił jakie zbrodnie, ale trudno by o duszę bardziej oschłą, bardziej wrogą wszystkiemu, co zacne, bardziej wyzutą z wszelkiego uczucia ludzkości. Był księdzem, pochodził z jakiejś wioski w Prowansji; mały, chudy, bardzo sztywny, z zielonkawą cerą, fałszywym spojrzeniem i odrażającym uśmiechem.

Dokończył właśnie wychowania Kazimierza i Augusta Perier i ich czterech czy sześciu braci.

Kazimierz był ministrem bardzo sławnym i, wedle mnie, ofiarą Ludwika Filipa. Augustyn, najpompatyczniejszy z ludzi, umarł porem Francji. Scypion umarł, trochę niespełna rozumu, około 1806. Kamil był przeciętnym prefektem, ożenił się po raz drugi z kobietą bardzo bogatą; jest trochę wariat, jak wszyscy jego bracia. Józef, mąż ładnej kobiety, bardzo kochliwej i słynnej ze swych miłostek, był może najrozsądniejszy ze wszystkich. Inny, Amedeusz, zdaje mi się, oszukał podobno w grze około roku 1815 i wolał spędzić pięć lat u Św. Pelagii niż zapłacić.

Wszyscy ci bracia byli trochę wariaci; przypuszczam, że musieli zawdzięczać tę zaletę naszemu wspólnemu preceptorowi<sup>26</sup>, księdzu Raillane.

Człowiek ten przez spryt, przez wychowanie albo przez instynkt księży był zabitym wrogiem logiki i wszelkiego rzetelnego rozumowania.

---

<sup>26</sup> *preceptor* – nauczyciel. [przypis edytorski]

Ojciec mój wziął go zapewne przez próżność. Milord Perier, ojciec ministra Kazimierza, uchodził za najbogatszego człowieka w okolicy. W istocie, miał dziesięcioro lub jedenaścioro dzieci i zostawił 350 000 franków każdemu. Co za zaszczyt dla adwokata wziąć dla syna preceptora, który był u pana Perier!

Może księdza Raillane oddalono za jakieś wykroczenie; utwierdza mnie dziś w tym podejrzeniu okoliczność, że było jeszcze w rodzinie Perier troje dzieci bardzo młodych: Kamil w moim wieku, Józef i Amedeus, o ile mi się zdaje, znacznie młodszy.

Nie znam absolutnie układów finansowych mojego ojca z księdzem Raillane. Zwracanie jakiegokolwiek uwagi na sprawy pieniężne uchodziło w mojej rodzinie za coś w najwyższym stopniu szpetnego i plugawego. Było coś obrażającego w tym, aby mówić o pieniądzu; pieniądz był niby smutna konieczność życia, niestety nieodzowna, tak jak wychodek; ale była to rzecz, o której nie należało nigdy mówić. Mówiło się co prawda wyjątkowo o poważnych sumach, jakie kosztowała nieruchomości: słowo „nieruchomość” wymawiało się z szacunkiem.

Pan Bellier zapłacił za swą posiadłość w Voreppe 20 000 talarów. Pariset kosztuje naszego kuzyna Colomba przeszło 12 000 talarów.

Ten tak sprzeczny z obyczajem paryskim wstręt do mówienia o pieniądzu pochodził nie wiem skąd i głęboko się zakorzenił w moim charakterze. Widok wielkiej sumy złota nie budzi we

mnie innego uczucia, jak tylko myśl o kłopotcie ubezpieczenia jej od złodziejów; to uczucie brano często za afektację, nie mówię też o nim więcej.

Wszelki honor, wszelkie uczucia podniosłe i dumne mojej rodziny pochodziły od ciotki Elżbiety. Uczucia te władały despotycznie w naszym domu; a przecież ciotka mówiła o nich bardzo rzadko, może raz na dwa lata, zazwyczaj zaczynało się to od hołdów składanych pamięci jej ojca. Ubóstwiałem tę kobietę rzadkiej podniosłości charakteru; mogła mieć wówczas sześćdziesiąt pięć lat, zawsze ubrana bardzo schludnie i używająca na swoje bardzo skromne toalety drogich materii. Każdy pojmuje, że to dopiero dziś, myśląc o tym, widzę te rzeczy. Nie znam na przykład fizjonomii nikogo z mojej rodziny, a przecież mam przytomne ich rysy aż do najdrobniejszego szczegółu. Jeżeli sobie trochę uprzytamniam fizjonomię mego ukochanego dziadka, to dzięki wizycie, jaką złożyłem mu, będąc już audytorem lub zastępcą komisarza wojennego; zapomniałem absolutnie, kiedy mogła być ta wizyta. Rozwinałem się bardzo późno i tym tłumaczę dziś sobie ten mój brak pamięci do fizjonomii. Aż do dwudziestu pięciu lat, co mówię, często i dziś jeszcze trzeba mi trzymać się oburącz, aby nie poddać się całkowicie wrażeniu wywołanemu przez jakiś przedmiot i móc go ocenić rozsądnie moim doświadczeniem. Ale co to, u diabła, obchodzi czytelnika? Co go obchodzi całe to pisanie? A jednak jeśli nie zgłębię tego charakteru dziadka, tak trudnego dla mnie do rozeznania, nie postąpię sobie jak rzetelny pisarz starający

się powiedzieć o swoim przedmiocie wszystko, co zdoła zeń wycisnąć. Proszę mego wydawcę (jeśli go kiedy będę miał), aby podkreślał wszystkie te dłużyzny.

Pewnego dnia ciotka Elżbieta roztkliwiała się nad wspomnieniem swego brata młodo zmarłego w Paryżu; byliśmy sami tego popołudnia w jej pokoju. Najwidoczniej ta wzniosła dusza rozmawiała ze swymi myślami, że zaś kochała mnie, zwracała się do mnie dla formy.

– ...Co za charakter! – (To znaczyło: co za siła woli). – Co za energia! Och, co za różnica! – (To znaczyło: co za różnica z *tym*, z moim dziadkiem, z Henrykiem Gagnon). I natychmiast, opamiętując się i przypominając sobie, z kim mówi, dodała: – Nigdy jeszcze tyle nie powiedziałam.

Ja: – Ile lat miał, jak umarł?

Ciotka Elżbieta: – Dwadzieścia trzy.

Rozmowa trwała długo; zaczęła mówić o swoim ojcu. Pośród tysiąca szczegółów, których zapomniałem, rzekła:

– Płakał wtedy z wściekłości dowiadując się, że nieprzyjaciel zbliża się do Tulonu.

(Ale kiedy nieprzyjaciel zbliżał się do Tulonu? Około 1736 może, w czasie wojny pamiętnej bitwą pod Assiette, z której widziałem w roku 34 sztych, interesujący przez swoją *prawdę*).

Byłby chciał, aby milicja ruszyła. Otóż nie było rzeczy bardziej przeciwnej uczuciom mego dziadka, egoisty jak Fontenelle, człowieka najdowcipniejszego i najmniej patriotycznego ze wszystkich, jakich w życiu znałem. Patriotyzm

byłby dla mego dziadka niegodną dystrakcją w jego wytwornych i literackich myślach. Ojciec mój byłby obliczył z miejsca, co by to mogło mu przynieść. Wujaszek Roman powiedziałby zaniepokojony: „Tam do licha! To może pachnieć jakimś niebezpieczeństwem”. Serca starej ciotki i moje zabiłyby wzruszeniem.

Może ja przyspieszam trochę rzeczy, co się mnie tyczy, i odnoszę do siódmego lub ósmego roku uczucia, które miałem w dziewiątym lub dziesiątym. Niepodobna mi rozróżnić w jednej i tej samej rzeczy dwóch tak starożytnych epok.

Czego jestem pewny, to tego, że poważny i groźny portret mego pradziadka w szerokiej na pół stopy złoczonej ramie z wielkimi rozetami, portret, którego się bałem prawie, stał mi się drogi i święty, odkąd dowiedziałem się o mężnych i szlachetnych uczuciach, jakie w nim obudził nieprzyjaciel zbliżający się do Tulonu.

## Rozdział VIII

Przy tej sposobności ciotka Elżbieta opowiedziała mi, że pradziad mój urodził się w Awinionie, w Prowansji, ziemi, gdzie rodzą się pomarańcze (rzekła z akcentem żalu), mieście o wiele bliższym Tulonu niż Grenoble. Trzeba wiedzieć, że wielką ozdobą naszego miasta było kilkadziesiąt pomarańczowych drzew w skrzyniach, odziedziczonych może po konetablu de Lesdiguières, ostatniej wybitnej osobistości Delfinatu. Skrzynie te z początkiem lata umieszczano z paradą w pobliżu wielkiej kasztanowej alei, też, zdaje mi się, zasadzonej przed Lesdiguières'a. „Jest więc kraj, gdzie pomarańcze rosną sobie w ziemi?” – spytałem ciotki. Zdaję by sobie dziś sprawę, że bezwiednie przypomniałem jej wiekiesty przedmiot jej żalów.

Opowiedziała mi, że jesteśmy rodem z kraju jeszcze piękniejszego niż Prowansja („my” to znaczy Gagnonowie); że dziadek jej dziadka wskutek bardzo nieszczęśliwych wydarzeń przybył się schronić do Awinionu ze świtą papieża; że musiał zmienić tam nieco swoje nazwisko i kryć się, i że żył wtedy z rzemiosła chirurga.

Z tym, co wiem o Włoszech dzisiaj, przetłumaczyłbym to tak: że niejaki pan Guadagni lub Guadaniamo, popełniwszy jakieś drobne morderstwo we Włoszech przybył do Awinionu około 1650, w świcie jakiegoś legata. Co mnie bardzo uderzyło wówczas, to że my przybyliśmy (bo ja się uważałem za Gagnona

i myślałem o Beyle'ach zawsze z odrazą, która w 1835 trwa jeszcze), że przybyliśmy z kraju, gdzie pomarańcze rosną po prostu w ziemi. Co za rozkoszny kraj, myślałem sobie!

Co by mnie utwierdzało w tej myśli o włoskim pochodzeniu, to że język owego kraju był w wielkiej czci w mojej rodzinie, rzecz bardzo osobliwa w mieszczańskiej rodzinie z roku 1780. Mój dziadek znał i kochał włoski język; moja droga matka czytywała Dantego, rzecz bardzo trudna nawet dziś; pan Artaud, który spędził dwadzieścia lat we Włoszech i który świeżo wydał przekład Danta, daje nie mniej niż dwa nonsensy i jedno głupstwo na stronie. Ze wszystkich Francuzów, których znam, jedynie dwaj: pan Fauriel, który mi dał miłosne historie arabskie, i pan Delécluze z „Debatów”, rozumieją Dantego, a przecież wszyscy bazgracze paryscy profanują bez ustanku to wielkie nazwisko, cytując go i siląc się go komentować. To mnie oburza.

Moja cześć dla Dantego jest bardzo dawna; datuje od egzemplarzy, które znalazłem na półce ojcowskiej biblioteki zajętej przez książki mojej biednej matki. Były moją jedyną pociechą w epoce *tyranii Raillane'a*.

Wstręt mój do rzemiosła tego człowieka i do wszystkiego, czego on uczył z rzemiosła, doszedł do punktu, który graniczy z manią.

Czy uwierzyłby ktoś, że wczoraj jeszcze, 4 grudnia 1835, wróciwszy z Rzymu do Civitavecchia, miałem sposobność oddania, bez przykrości dla siebie, poważnej przysługi młodej kobiecie, której nie podejrzewam o zbytnią srogość. W drodze

dowiedziała się mimo mej chęci o moim nazwisku, miała list polecający do mego sekretarza. Ma bardzo piękne oczy i te oczy patrzyły na mnie dość słodko przez osiem ostatnich mil drogi. Prosiła mnie, abym jej wyszukał niedrogie mieszkanie; słowem, ode mnie może tylko zależało, aby dostąpić jej łaski, ale ponieważ piszę to od tygodnia, nieszczęsne wspomnienie księdza Raillane obudziło się. Orli, ale trochę zbyt mały nos tej pięknej lyonki, pani\*\*\*, przypomniał mi nos księdza; z tą chwilą niepodobna było mi nawet patrzeć na nią; udawałem w powozie, że śpię. Nawet wsadziwszy ją na okręt i ulokowawszy ją, z grzeczności, za 8 zamiast 25 talarów, wahałem się iść obejrzeć nowy lazaret, aby nie musieć jej zobaczyć i przyjmować jej podziękowań.

Ponieważ nie ma żadnej osłody, samo tylko brzydkie i nudne we wspomnieniach o księdzu Raillane, co najmniej od dwudziestu lat odwracam ze wstrętem oczy od tej straszliwej epoki. Ten człowiek powinien był zrobić ze mnie łajdaka; był to, widzę teraz, skończony jezuita. Brał mnie na stronę w czasie naszych spacerów nad Izerą, od bramy Graille aż do ujścia Drac, lub po prostu do gaiku za wyspą, aby mnie ostrzegać, że jestem nieostrożny w słowach.

– Ależ, proszę księdza – mówiłem innymi słowami – to jest prawda, ja tak czuję.

– To nic, moje dziecko, nie trzeba tego mówić, nie wypada.

Gdybym był nasiąkł tymi zasadami, byłbym dziś bogaty, bo kilka razy fortuna zapukała do moich drzwi. (Odrzuciłem

w maju 1814 r. generalną dyrekturę zbożową w Paryżu pod rozkazami hrabiego Beugnot, którego żona miała dla mnie najżywszą sympatię; po jej kochanku, panu Pépin de Belle-Isle, moim serdecznym przyjacielu, byłem może jej najbliższy ze wszystkich). Byłbym tedy bogaty, ale byłbym łajdakiem, nie miałbym uroczych wizji *piękna*, które często napełniają moją głowę w wieku *fifty two*<sup>27</sup>.

Czytelnik sądzi może, że ja silę się oddalić ten nieszczęsny puchar goryczy, mianowicie konieczność mówienia o księdzu Raillane.

Miał brata krawca na końcu ulicy Wielkiej, w pobliżu placu Claveyson, który był uosobieniem plugastwa. Jednej ohydy brak temu jezuicie: nie był brudny, przeciwnie, bardzo dbały o siebie i czysty. Miał pasję do kanarków; chował je i utrzymywał bardzo schludnie, ale tuż przy moim łóżku. Nie rozumiem, jak ojciec mógł cierpieć rzecz tak niezdrową.

Dziadek mój nie przestąpił progu jego domu od śmierci córki, nie byłby tego zniósł; ojciec mój, Cherubin Beyle, kochał mnie, jak rzekłem, jako dziedzica nazwiska, ale zgoła nie jako syna.

Klatka z kanarkami, z drutów przymocowanych do drewnianych prętów, które znowuż były umocowane w murze, mogła być dziewięć stóp długa, sześć wysoka i cztery głęboka. W tej przestrzeni latało smutno, z dala od słońca, ze trzydzieści biednych kanarków wszelkiego koloru. Kiedy się niosły, ksiądz żywił je żółtkiem jajka; ze wszystkiego, co robił, to jedno

---

<sup>27</sup> *fifty two* (ang.) – pięćdziesięciu dwu [lat]. [przypis redakcyjny]

mnie interesowało. Ale te piekielne ptaki budziły mnie o świcie; wnet potem słyszałem łopatkę księdza, który poprawiał ogień ze starannością właściwą – jak poznałem później – jezuitom. Ale ptaszka ta wydawała silny odór, o dwie stopy od mego łóżka, w wilgotnym, ciemnym pokoju, gdzie nie było nigdy słońca. Nie mieliśmy okna od strony ogrodu pana Lamouroux, a tylko *jour de souffrance*<sup>28</sup> (w miastach będących siedzibą Parlamentu roi się od wyrażenia prawniczego), okienko dające światło klatce schodowej L<sup>29</sup>, która chociaż znajdowała się na wysokości co najmniej czterdziestu stóp nad ziemią, zacieniona była przez piękną lipę, widocznie bardzo wysoką.

Ksiądz wpadał w gniew – spokojny, ponury i zły gniew flegmatycznego dyplomaty – kiedy jadłem suchy chleb w pobliżu jego pomarańcz. Te pomarańcze to była jego prawdziwa mania, o wiele dokuczliwsza niż mania ptaków. Jedne miały trzy cale, inne stopę wysokości; stały na oknie O<sup>30</sup>, do którego słońce dochodziło trochę przez dwa letnie miesiące. Przeklęty ksiądz twierdził, że okruchy spadające z naszego razowego chleba ściągają muchy, które objadają jego pomarańcze. Ten ksiądz mógłby dać lekcje małostkowości najbardziej mieszczańskim mieszcuchom.

---

<sup>28</sup> *jour de souffrance* – małe zakratowane okno wychodzące na posiadłość sąsiada. [przypis redakcyjny]

<sup>29</sup> (...) *klatce schodowej L* – tekst w tym miejscu odnosi się do zamieszczonego w źródłowym wydaniu szkicu przedstawiającego plan mieszkania. [przypis edytorski]

<sup>30</sup> (...) *na oknie O* – tekst w tym miejscu odnosi się do zamieszczonego w źródłowym wydaniu szkicu przedstawiającego plan mieszkania. [przypis edytorski]

Moi koledzy, Chazel i Reytiers (Teyssier), byli o wiele szczęśliwsi ode mnie. Chazel był to dobry chłopak, już duży, którego ojciec, południowiec, o ile mi się zdaje, to znaczy człowiek szczery, nagły i pospolity, agent panów Perier, niewiele dbał o łacinę. Przychodził *sam* (bez służącego) około dziesiątej, robił źle swoje *pensum* łacińskie i zmykał w pół do pierwszej. Po południu często nie przychodził wcale.

Reytiers, bardzo ładny chłopak, jasnowłosa i nieśmiały jak panienka, nie śmiał spojrzeć w twarz straszliwemu księdzu. Był to jedyny syn ojca najtrwoźliwszego i najbardziej religijnego z ludzi. Przybywał o ósmej pod surową pieczę służącego, który przychodził po niego, kiedy południe biło na Św. Andrzeju (modny kościół, którego dzwony było doskonale słyhać). O drugiej służący przyprowadzał znów Reytiersa z podwieczorkiem w koszyku. W lecie koło piątej ksiądz Raillane prowadził nas na spacer; w zimie rzadko, około trzeciej. Chazel, który był *duży*, nudził się na tych spacerach i wymykał się nam szybko.

Mieliśmy tę pasję, aby chodzić w stronę wyspy na Izerze; przede wszystkim góra widziana stamtąd wyglądała wspaniale, a jedną z wad „literackich” mego ojca i księdza Raillane było to, że przesadzali bez ustanku piękności natury (które te piękne dusze musiały odczuwać bardzo słabo: myśleli tylko o zysku i o pieniądzach). Ksiądz Raillane póty nam mówił o piękności skały Buisserate, aż nas skłonił do podniesienia głowy. Ale inny zgoła przedmiot kazał nam polubić brzeg

naprzeciw wyspy. Tam widzieliśmy, my, biedni więźniowie, młodych ludzi, którzy *zażywali swobody*, którzy chodzili sobie *sami* i kąpali się potem w Izerze oraz jej dopływie nazwanym Biole. Nadmiar szczęścia, którego możliwości nie widzieliśmy nawet w najdalszej przyszłości.

Ksiądz Raillane, niby najbardziej ministerialny dziennik naszej epoki, umiał mówić jedynie o niebezpieczeństwach wolności. Ilekroć zobaczył chłopca, który się kąpał, nigdy nie omieszkął nam przepowiadać, że wreszcie utonie. Oddał nam tę przysługę, że zrobił z nas tchórzów; co się mnie tyczy, doskonale mu się to udało. Nigdy nie nauczyłem się pływać. Kiedy byłem wolny w dwa lata potem, około 1795 (zdaje mi się), i to jeszcze oszukując rodzinę i wymyślając co dzień nowe kłamstwo, myślałem już o tym, aby za wszelką cenę opuścić Grenoble, kochałem się w pannie Kubly, pływanie nie było już dla mnie rzeczą na tyle interesującą, aby się go uczyć. Za każdym razem, kiedy znalazłem się w wodzie, Roland (Alfons) albo jakiś inny osiłek zmuszał mnie do napicia się wody.

Nie mam dat z czasu okropnej tyranii księdza Raillane; zrobiłem się ponury i znienawidziłem cały świat. Moim wielkim nieszczęściem było to, że nie mogłem się bawić z innymi dziećmi; ojciec, zapewne bardzo dumny, że ma dla syna preceptora, niczego bardziej się nie bał jak tego, że mógłbym się „zadawać z prostymi chłopakami” – takie było wyrażenie ówczesnych arystokratów. Jedna jedyna rzecz mogłaby mi

dostarczyć jakiejś daty: panna Marina Perier (siostra ministra Kazimierza Perier) zaszła odwiedzić księdza Raillane, który był może jej spowiednikiem, na krótko przed swoim małżeństwem z tym postrzelonym Kamilem Teisseire. Był to zaciekły patriota, który później spalił swego Woltera i Russa; on to w roku 1811, będąc podprefektem z łaski pana Crétet, swego kuzyna, był tak zdumiony względami, jakimi w jego oczach darzono mnie w salonie hrabiny Daru (parter wychodzący na ogród pałacu Bironów, zdaje mi się, objętego listą cywilną, ostatni dom po lewej stronie ulicy Św. Dominika, na rogu bulwaru Inwalidów). Widzę jeszcze jego zawistną minę i niezręczne uprzejmości, na jakie silił się wobec mnie. Kamil Teisseire wzbogacił się lub raczej jego ojciec wzbogacił się, wyrabiając ratafię wiśniową, czego się bardzo wstydził.

Gdybym poszukał w aktach stanu cywilnego Grenoble (którą Ludwik XVIII nazywał *Grelibre*<sup>31</sup>) metryki ślubu Kamila Teisseire (ulica des Vieux-Jésuites albo plac Grenette, bo jego duży dom miał dwa wejścia) z panną Mariną Perier, miałbym datę tyranii księdza Raillane.

Byłem ponury, nieufny, niezadowolony; tłumaczyłem Wergilego; ksiądz przesadzał piękności tego poety, a ja słuchałem jego pochwał tak, jak biedni Polacy muszą dziś przyjmować pochwały dobroduszości rosyjskiej w swoich zaprzędanych gazetach. Nienawidziłem księdza, nienawidziłem

---

<sup>31</sup> *Grenoble którą Ludwik XVIII nazywał Grelibre* – Dowcip oparty na grze słów; *gre noble* znaczy: szlachetna wola, *gre libre*: wolna wola. [przypis redakcyjny]

mego ojca, źródło jego władzy, nienawidziłem więcej jeszcze religii, w imię której mnie tyranizowali. Dowodziłem memu towarzyszowi łańcucha, trwożliwemu Reytiers, że wszystkie rzeczy, których nas uczą, to bajki. Skąd wziąłem te pojęcia? Nie wiem. Mieliśmy wielką Biblię z rycinami, w zielonej oprawie, z drzeworytami w tekście; nie ma nic lepszego dla dzieci. Przypominam sobie, że wciąż szukałem śmieszności w tej biednej Biblii. Reytiers, bardziej nieśmiały, bardziej wierzący, ukochany przez ojca i przez matkę, która się różowała na cal grubo i która była niegdyś bardzo piękna, podzielał moje wątpliwości przez grzeczną.

Tłumaczyliśmy tedy Wergilego z wielkim mozołem, kiedy odkryłem w bibliotece ojca przekład Wergilego w czterech tomach *in 8°*, bardzo pięknie oprawnych; przekład był tego *draba* księdza Desfontaines, o ile mi się zdaje. Znalazłem tom odpowiadający *Georgikom* i drugiej księdze, nad którąśmy się mordowali (w istocie nie umieliśmy wcale łaciny). Ukryłem tę błogosławioną książkę w ustępie, w szafie, gdzie składało się pióra kapłonów spożytych w domu; i tam, w czasie naszego uciążliwego tłumaczenia, zachodziliśmy się radzić wersji Desfontaines'a. Zdaje się, że dzięki naiwności Reytiersa ksiądz się spostrzegł, była to straszliwa scena. Robiłem się coraz bardziej ponury, zły, nieszczęśliwy. Nienawidziłem cały świat, a ciotkę Serafię ponad wszystko.

W rok po śmierci matki, około 1791 czy 1792, zdaje mi się dzisiaj, że ojciec zakochał się w niej: stąd nieskończone spacer

do Granges, dokąd mnie brano na trzeciego, bacząc, abym szedł czterdzieści kroków naprzód, z chwilą gdyśmy minęli bramę Bonne. Ciotka Serafia zniecierpiała mnie, nie wiem czemu, i wciąż starała się, aby mnie ojciec połajał. Nienawidziłem ich i musiało to być znać, skoro nawet dziś, gdy mam niechęć do kogo, obecni widzą to natychmiast. Nie cierpiałem mojej młodszej siostry Zenajdy (dziś pani Aleksandrowa Mallein), ponieważ była ulubienicą ojca, który co wieczór usypiał ją na kolanach, oraz wysoce protegowaną przez pannę Serafię. Okrywałem mury domu karykaturami Zenajdy-skarżypyty. Siostra moja Paulina (dziś wdowa po panu Périer-Lagrange) i ja oskarżaliśmy Zenajdę, że pełni wobec nas funkcje szpiega, i sądzę, że było w tym coś prawdy. Jadałem zawsze u dziadka, ale kończyliśmy obiad w chwili, gdy kwadrans na drugą bił na Św. Andrzeju, a o drugiej trzeba było opuścić piękne słońce placu Grenette, aby wracać do wilgotnych i zimnych pokojów, które ksiądz Raillane zajmował w dziedzińcu ojcowskiego domu przy ulicy des Vieux-Jésuites. Nie było przykrzejszej rzeczy dla mnie; ponieważ byłem ponury i skryty, robiłem projekty ucieczki, ale skąd wziąć pieniądze?

Jednego dnia dziadek rzekł do księdza Raillane:

– Ależ, księżo, po co wyklądać temu chłopcu system niebieski Ptolemeusza, o którym ksiądz wie, że jest fałszywy?

– Ale tłumaczy wszystko, zresztą uznany jest przez Kościół.

Dziadek nie mógł strawić tej odpowiedzi i często ją powtarzał, ale ze śmiechem; nie oburzał się nigdy na to, co zależało od

innych, otóż wychowanie moje zależało od ojca, a im mniej dziadek miał szacunku dla jego wiedzy, tym bardziej szanował jego prawa ojcowskie.

Ale ta odpowiedź księdza, często cytowana przez dziadka, którego ubóstwiałem, do reszty zrobiła ze mnie zawziętego niedowiarka, w dodatku istotę najbardziej ponurą. Dziadek mój umiał astronomię, mimo że nie miał pojęcia o matematyce; spędzaliśmy letnie wieczory na wspaniałej terasie jego apartamentu; tam mi pokazywał Wielką i Małą Niedźwiedzicę, mówił mi poetycznie o pasterzach Chaldei i o Abrahamie. W ten sposób nabrałem szacunku dla Abrahama i mówiłem do Reytiersa: „To nie jest taki łajdak jak inne figury z Biblii”.

Dziadek miał na własność albo pożyczony z biblioteki publicznej, której był założycielem, egzemplarz in 4° *Podróż do Nubii i Abisynii* Bruce'a. Podróż ta była z rycinami, stąd jej olbrzymi wpływ na moje wychowanie.

Nienawidziłem wszystkiego, czego mnie uczył ojciec albo ksiądz Raillane. Otóż ojciec kazał mi recytować na pamięć geografie Lacroix, a ksiądz czynił to w dalszym ciągu; umiałem ją dobrze z musu, ale nienawidziłem jej.

Bruce, potomek królów szkockich, jak mi powiadał kochany dziadek, wszczepił mi żywe upodobanie do wszystkich nauk, o których mówił. Stąd moja namiętność do matematyki i wreszcie ta myśl, śmiem powiedzieć, *genialna: matematyka może mnie wydobyć z Grenoble*.

## Rozdział IX

Mimo całego swego delfinackiego sprytu ojciec mój, Cherubin Beyle, nie był wolny od namiętności. Po namiętności do kaznodziejów Masillona i Bourdaloue przysłała namiętność ogrodnictwa, którą w dalszym ciągu wyrugowała namiętność kielni (albo budownictwa), którą, zdaje się, miał zawsze; wreszcie polityka reakcyjna i namiętność gospodarzenia Grenoblą na korzyść Burbonów. Ojciec myślał dzień i noc o tym, co było celem jego namiętności; miał wiele sprytu, wielkie znawstwo chytryści innych Delfinatczyków, z czego wyciągnąłbym dość chętnie wnioski, że był człowiekiem zdolnym. Ale tak samo nie mam już o tym pojęcia jak o jego fizjonomii.

Ojciec zaczął jeździć dwa razy w tygodniu do Claix; jest to folwarczek, zdaje mi się, stu pięćdziesięciomorgowy, położony na południe od miasta, na zboczu góry, poza Drac. Grunt w Claix i w Furonnières jest suchy, wapienny, pełen kamieni. Pewien frant, ksiądz, wpadł około 1750 na pomysł, aby uprawić moczar na zachód od mostu w Claix; ten moczar stał się fortuną okolicy.

Dom ojca był o dwie mile od Grenobli; zrobiłem tę drogę pieszo może tysiąc razy. Z pewnością temu ćwiczeniu ojciec zawdzięczał owo doskonałe zdrowie, dzięki któremu dożył siedemdziesięciu dwóch lat, o ile mi się zdaje. W Grenobli

człowieka o tyle tylko szanują, o ile ma ziemię. Lefevre, perukarz mego ojca, miał folwarczek w Corenc i często robił zawód klientom, „bo udał się do Corenc” – wymówka zawsze skuteczna. Czasem dla skrócenia drogi chodziliśmy w kierunku Seyssins, przepływając przez Drac promem w punkcie A<sup>32</sup>.

Ojciec był tak przejęty swą nową pasją, że mówił mi o niej bez ustanku. Sprowadził z Paryża czy Lyonu bibliotekę rolniczą czy gospodarską, w której były ryciny; przeglądałem często tę książkę, czemu zawdzięczałem, że często chodziłem do Claix (to znaczy do naszego domu w Furonnières) we czwartki, dni wakacyjne. Przechadzałem się z ojcem po polach i słuchałem z niechęcią wykładu jego planów. Bądź co bądź przyjemność, że ma jakiegoś słuchacza owych romansów, które nazywał kalkulacją, sprawiała, że nieraz wracałem do miasta aż w piątek; czasami wyjeżdżaliśmy we środę wieczór.

Nie lubiłem Claix, bo wciąż nękano mnie tam projektami rolniczymi, ale niebawem odkryłem tam wielką pociechę. Udało mi się ściągnąć tomy Woltera z czterdziestotomowego oprawnego wydania, które ojciec miał u siebie w Claix; były doskonale oprawne w cielejącą skórę, deseniem imitującą marmur. Było tam, zdaje mi się, czterdzieści tomów, bardzo ściśniętych; wyciągałem dwa i rozsuwałem nieco inne, nie było znać. Zresztą ta niebezpieczna książka stała na najwyższej półce szafy z wiśniowego drzewa, oszklonej, często zamykanej na klucz.

---

<sup>32</sup> *przepływając przez Drac promem w punkcie A* – tekst nawiązuje w tym miejscu do szkicu okolicy umieszczonego w źródle. [przypis edytorski]

Dzięki Bogu, nawet w tym wieku ryciny wydały mi się śmieszne, i co za ryciny: do *Darczanki*<sup>33</sup>!

Ten cud budził we mnie niemal wiarę, że Bóg powołał mnie do dobrego smaku i do napisania kiedyś *Historii malarstwa we Włoszech*.

Spędzaliśmy w Claix zawsze ferie, to znaczy wrzesień i sierpień. Moi nauczyciele skarżyli się, że zapominam całej łaciny w tej dobie przyjemności. Nic nie było bardziej wstrętne, niż kiedy ojciec nazywał nasze wyprawy do Claix „naszymi przyjemnościami”. Byłem jak galernik, którego by zmuszono, aby nazywał swoją przyjemnością system łańcuchów nieco mniej ciężki od innych.

Byłem uprzedzony i, jak sądzę, bardzo zły i niesprawiedliwy dla ojca i dla księdza Raillane. Wyznaję, ale z wielkim wysiłkiem rozumu, nawet w roku 1835, że niepodobna mi sądzić tych dwóch ludzi. Zatruli moje dzieciństwo w całym znaczeniu słowa „zatruc”. Mieli twarze surowe i stale bronili mi zamienić słowo z chłopcem w moim wieku. Dopiero w epoce Szkół Centralnych (wspaniałe dzieło pana de Tracy) dostałem się w towarzystwo dzieci w moim wieku, ale nie z dziecięcą wesołością i beztróską. Przybyłem tam nieufny, zły, dyszący żądzą zemsty za najmniejszego kuksańca, który był dla mnie tym co policzek między mężczyznami, słowem, z wszelkimi

---

<sup>33</sup> *Darczanka* – *La Pucelle d'Orleans*, żartobliwy poemat Woltera o Dziewicy Orleańskiej. Pod tytułem *Darczanka* przełożył część tego poematu Mickiewicz. [przypis tłumacza]

przywarami z wyjątkiem zdrady.

Najgorszą stroną tyranii księdza Raillane było to, że ja czułem swoje niedole. Widziałem bez ustanku na Grenette dzieci w moim wieku chodzące i biegające *społem*, rzecz, której mi nie dozwolono ani razu. Kiedy okazywałem zgryzotę, która mnie żarła, odpowiadano mi: „Pojedziesz powozem” i pani Périer-Lagrange, matka mego szwagra, skwaszona dama, brała mnie do swego powozu, kiedy odbywała przejażdżkę dla zdrowia. Łajała mnie przynajmniej tyle co ksiądz Raillane; była to zasuszona dewotka i miała jak ksiądz ową niezmienną fizjonomię, która nie śmieje się nigdy. Co za ekwiwalent przechadzki z małymi urwisami w moim wieku! Kto by uwierzył, ja nigdy nie grałem w kręgielki, a bąka dostałem jedynie dzięki interwencji dziadka, któremu córka jego, Serafia, zrobiła o to *scenę*.

Byłem tedy bardzo nieufny, bardzo zły; kiedy w pięknej bibliotece w Claix odkryłem *Don Kiszota* po francusku. Książka była z rycinami, ale wyglądała staro, ja zaś nienawidziłem wszystkiego, co było stare, ponieważ moi krewni nie pozwalali mi widywać młodych, a sami wydawali mi się strasznie starzy. Ale w końcu zdołałem zrozumieć ryciny, które wydały mi się zabawne: Sanczo Pansę na jego ośle podpierają czterema tyczkami, gdy Gines de Passamont zabiera mu osła.

Pękałem przy *Don Kiszocie* ze śmiechu. Raczcie się zastanowić, że od śmierci mojej biednej matki ja się nie śmiałem; byłem ofiarą najbardziej konsekwentnego arystokratycznego i religijnego wychowania. Moi tyrani nie odstępili nigdy na krok

od tego planu. Odrzucano wszelkie zaproszenia. Chwytałem czasem urywek rozmów, w których dziadek był zdania, aby mi pozwolono gdzieś bywać. Ciotka Serafia sprzeciwiała się, wyrażając się o mnie w sposób obelżywy; ojciec, który jej ulegał, dawał dziadkowi jezuickie odpowiedzi, które nie zobowiązywały do niczego. Ciotka Elżbieta wzruszała ramionami. Kiedy jakiś projekt przechadzki wyszedł zwycięsko z takiej dyskusji, ojciec odwoływał się do księdza Raillane z przyczyny zadania, którego nie odrobiłem wczoraj i które trzeba było zrobić właśnie w porze przechadzki.

Osądźcie wrażenie *Don Kiszota* wśród tak okropnego smutku! Odkrycie tej książki, czytanej pod lipą w alei, gdzie siadywałem, jest może największą epoką w moim życiu.

Kto by uwierzył? Ojciec widząc, że parskam śmiechem, łajał mnie, groził, że mi odbierze tę książkę (co uczynił też kilka razy), brał mnie w pole, aby mi wykładać swoje plany melioracyj.

Nękany nawet przy lekturze *Don Kiszota*, kryłem się w krzaki, do altanki na samym końcu sadu okolonego murem.

Znalazłem Moliера z rycinami; ryciny wydały mi się śmieszne zrozumiałem tylko *Skapca*. Znalazłem komedię Destouches'a; jedna z najpocieszniejszych rozczuliła mnie do łez. Była tam historia miłosna w stylu szlachebnym, to była moja słaba strona. Na próżno szukam w pamięci tytułu owej komedii, nieznaney nawet między nieznanymi komediami tego płaskiego dyplomaty.

*Nocny dobosz*, pomysł skopiowany z angielskiego, zabawił mnie mocno.

Widzę jako fakt utrwalony w mojej głowie, że począwszy od siódmego roku postanowiłem pisać komedie jak Molier. Nie ma jeszcze dziesięciu lat, kiedy sobie przypominałem okoliczności tego postanowienia.

Dziadek zachwycony był moim entuzjazmem do *Don Kiszota*, którego mu opowiadałem, bo jemu mówiłem prawie wszystko; ten przezacny sześćdziesięcioletni człowiek był w istocie jedynym moim kolegą.

Pożyczył mi, ale bez wiedzy córki, *Orlanda szalonego*, przełożonego lub raczej, sądzę, naśladowanego z Ariosta przez pana de Tressan (którego syn, dziś marszałek polny, a w roku 1820 wstecznik dość płaski, ale w roku 1788 uroczy młody człowiek, tyle przyczynił się do moich postępów w czytaniu, przyrzekając mi książeczkę pełną obrazków, której mi nigdy nie dał: niesłowność, która mnie bardzo zgorszyła).

Ariost urobił mój charakter, zakochałem się do szaleństwa w Bradamancie, którą wyobrażałem sobie jako tęgą dwudziestoczteroletnią dziewczuszkę o wdziękach olśniewającej białości.

Nienawidziłem wszystkich mieszczańskich i trywialnych szczegółów, za pomocą których Molier wyrażał swoją myśl. Te szczegóły zbyt mi przypominały moje nieszczęśliwe życie. Nie ma trzech dni (grudzień 1835), jak dwa znajome mi mieszcuchy toczyły między sobą komiczną scenę na wpół udanej kłótni:

oddaliłem się o dziesięć kroków, aby ich nie słyszeć. Wstręt mam do tych rzeczy, co mi nie pozwoliło nigdy nabrać doświadczenia. A to nie jest mały brak!

Wszystko, co jest pospolite i płaskie w typie mieszczańskim, przypomina mi Grenoble; wszystko, co mi przypomina Grenoble, budzi we mnie wstręt; nie *wstręt* to zbyt słabe słowo *mdłości*.

Grenobla jest dla mnie niby wspomnienie okropnej niestrawności; nie ma niebezpieczeństwa, ale potworny wstręt. Wszystko, co jest pospolite i płaskie bez kompensaty, wszystko, co jest wrogiem każdego szlachetnego odruchu, wszystko, co się cieszy z nieszczęścia ludzi kochających ojczyznę lub szlachetnych, oto dla mnie Grenoble.

Nic mnie tak nie dziwiło w moich podróżach, jak kiedy słyszałem z ust znajomych oficerów, że Grenoble to jest miasto urocze, pełne dowcipu i gdzie „ładnych kobiet się nie zapomina”. Pierwszy raz usłyszałem to powiedzenie przy stole u generała Moncey (dziś marszałka, księcia de Conegliano) w roku 1802, w Mediolanie lub w Cremonie; byłem tak zdziwiony, że poprosiłem o wyjaśnienie z drugiego końca stołu; wówczas jako *bogaty* podporucznik (150 franków na miesiąc) nie wątpiłem o niczym. Mój wstręt do nieustannych mdłości i niestrawności, którym dopiero co uciekłem, był u szczytu. Oficer sztabu generalnego potwierdził swą opinię; spędził pięć czy sześć kwartałów w Grenobli, twierdził, że to jest najprzyjemniejsze z miast prowincjonalnych, cytował mi panie: Allemand-Dulauron,

Piat-Desvials, Tournus, Duchamps, de Montmaur, panny Rivière (córkę oberżysty z ulicy Montorge), panny Bailly, modystki, przyjaciółki mego wuja, panów Drevon, Drevona starszego i Drevona la Pareille, pana Dolle z Porte-de-France, zaś z socjety arystokratycznej (termin z roku 1800, zastąpiony później przez „ultra”, potem przez „legitymista”) kawalera de Marcieu, pana de Bailly.

Niestety, zaledwie znałem ze słyszenia te miłe nazwiska! Rodzina moja wspominała je jedynie po to, aby ubolewać nad ich szaleństwem; potępiała bowiem wszystko, składała się z samych wątrobiarzy, trzeba to wciąż powtarzać, aby wytłumaczyć logicznie moje nieszczęście. Po śmierci mojej matki rodzina moja, zrozpaczona, zerwała wszystkie stosunki ze światem; matka moja była duszą i weselem rodziny; ojciec, ponury, nieśmiały, obraźliwy, niesympatyczny, miał charakter genewski (tam ciągle rachują, a nie śmieją się nigdy) i utrzymywał, o ile mi się zdaje, stosunki jedynie dla mojej matki. Dziadek, człowiek miły, światowy, poszukiwany dla wdzięku rozmowy przez wszystkich, od rękodzielnika do wielkiego pana, od pani Barthélemy, szewcowej, inteligentnej kobiety, aż do barona des Adrets, do którego nadal chodził na obiad raz na miesiąc, dziadek, ugodzony w samo serce śmiercią jedynej istoty, którą kochał, czując się bliski sześćdziesiątki, zerwał ze światem przez wstręt do życia. Tylko moja ciotka Elżbieta, niezależna, a nawet bogata (jak na Grenoble w roku 1789), zachowała parę domów, gdzie chodziła na partyjkę wieczorem (przed wieczerną, od

siódmej do dziewiątej). Zdarzało się to dwa albo trzy razy na tydzień. Niekiedy, mimo iż przejęta szacunkiem dla praw ojcowskich, przez litość dla mnie, kiedy ojciec był w Claix, oznajmiała, że jestem jej potrzebny, i zabierała mnie jako swego rycerza do panny Simon, która mieszkała w nowym domu jakobinów i różowała się na cal grubo. Zaczyna ciotka wzięła mnie raz nawet na wielką kolację, jaką wydała panna Simon. Przypominam sobie jeszcze blask świateł i wspaniałość zastawy; był tam na środku stołu serwis z posążkami ze srebra. Nazajutrz ciotka Serafia zadenuncjowała mnie przed ojcem, przyszło do wielkiej sceny. Te starcia, bardzo uprzejme co do formy, ale pełne owych zatrutych słówek, których nie zapomina się nigdy, stanowiły jedyną rozrywkę tej smutnej rodziny, w której pomieścił mnie mój zły los. Jakże zazdrościłem siostrzeńcowi pani Barthélemy, naszej szewcowej!

Cierpiałem, ale nie widziałem przyczyn tego wszystkiego; przypisywałem wszystko niegodziwości ojca i ciotki Serafii. Aby być sprawiedliwym, trzeba by zrozumieć mieszczan odętych pychą, którzy chcą dać „swemu jedynakowi”, jak mnie nazywali, arystokratyczne wychowanie. Te pojęcia były o wiele ponad mój wiek; zresztą kto by mi ich udzielił? Jedynymi moimi przyjaciółmi byli: kucharka Marion oraz Lambert, lokaj dziadka. Słyszając, jak się z nimi śmieję w kuchni, Serafia wciąż mnie odwoływała. W tej rodzinie ludzi wiecznie w złych humorach byłem ich jedynym zatrudnieniem; stroili te dokuczliwości mianem wychowania i prawdopodobnie byli w tym szczerzy.

Stykając się wciąż ze mną, dziadek udzielił mi swego kultu dla literatury, Horacy i Hipokrates byli w moich oczach czymś grubo innym niż Romulus, Aleksander i Numa. Wolter był czymś innym niż ten dudek Ludwik XVI, z którego sobie drwił, albo ten rozpustnik Ludwik XV, którego brudne nałogi potępiał; mówił ze wstrętem o „Du Barry”, a brak słowa „pani”, na tle panującej w naszym domu dworności, uderzył mnie wielce: brzydziłem się tymi istotami. Mówiło się zawsze: *pan* de Voltaire; dziadek wymieniał zawsze to nazwisko z uśmiechem pełnym szacunku i przywiązania.

Niebawem przyszła polityka. Rodzina moja należała do najbardziej arystokratycznych w mieście, co sprawiło, że natychmiast uczułem się wściekłym republikaninem. Widziałem piękne pułki dragonów ciągnące do Włoch, zawsze ktoś stał kwaterą w domu, pożerałem je oczyma; otóż moja rodzina nienawidziła ich. Niebawem księża zaczęli się kryć; zawsze mieliśmy w domu jednego albo dwóch schowanych. Obżarstwo jednego z pierwszych, którzy przybyli, grubasa z wyłazającymi na wierzch oczami, kiedy się napychał salcesonem, przejęło mnie wstrętem. (Mieliśmy wyborny salceson, po który chodziłem do piwnicy ze służącym Lambertem; przechowywało się go w kamieniu wydrążonym na kształt niecki). Jadło się u nas szczególnie czysto i starannie. Pilnowano mnie na przykład, aby nigdy nie jeść głośno. Większość tych księży, ludzi z gminu, mlaskała językiem o podniebienie, łamała niechlujnie chleb; to wystarczyło aż nadto, aby ci ludzie, siedzący po mojej lewej

nę, budzili we mnie wstręt. Zgilotynowano któregoś z naszych krewniaków w Lyonie (pana Santerre); posepny nastrój rodziny, nienawiść jej i niezadowolenie ze wszystkiego zdwoiło się.

Niegdyś, kiedy słyszałem o naiwnych uciechach dzieciństwa, o psotach tego wieku, o szczęściu pierwszej młodości, jedynym prawdziwym w życiu, serce mi się ścisnęło. Nie znałem tego wszystkiego; co więcej, wiek ów był dla mnie nieustanną epoką nieszczęścia, nienawiści i żądzy zemsty, zawsze bezsilnej. Całe moje nieszczęście da się streścić w dwóch słowach: nigdy nie pozwolono mi rozmawiać z chłopcem w moim wieku. A rodzina moja, nudząc się bardzo wskutek swego odcięcia od świata, zaszczycęła mnie ciągłą uwagą. Dla tych dwóch przyczyn w tej epoce mego życia, tak wesołej dla innych dzieci, byłem zły, ponury, nedorzeczny, słowem, *niewolnik* w najgorszym znaczeniu tego słowa; niebawem też nasiąknęłam uczuciami niewolnika. Odrobina szczęścia, jaką mogłem zdobyć, była chroniona kłamstwem. Z innej strony byłem ściśle w położeniu ludów dzisiejszej Europy: moi tyrani sęczyli mi wciąż słodkie słówka najtkliwszej pieczołowitości, a najsilniejszą ich sojuszniczką była religia. Musiałem słuchać nieustannych kazań o miłości ojcowskiej i obowiązkach dzieci. Jednego dnia znudzony gadaniami ojca rzekłem:

– Jeżeli mnie tak kochasz, daj mi pięć groszy dziennie i pozwól mi żyć tak, jak mnie się spodoba. Zresztą możesz być pewny jednej rzeczy, to że gdy dorosnę, zaciągnę się do wojska.

Ojciec podszedł do mnie jak gdyby chcąc mnie zmiążyć,

był wściekły.

– Jesteś niegodziwy bezbożnik – rzekł.

Czyż nie istny cesarz Mikołaj i Warszawa<sup>34</sup>, o której tyle się mówi w chwili, gdy to piszę (7 grudnia 1835, w Civitavecchia)? Faktem jest, że wszystkie tyranie podobne są do siebie.

Szczególnym przypadkiem zdaje mi się, że ja nie zrobiłem się zły, jedynie zmiążdżony na całe życie mieszczaństwem, jezuitami i obłudnikami wszelkiego rodzaju. Wyleczyły mnie może z mojej złości sukcesy moje z lat 1797, 98, 99 oraz poczucie własnych sił. Poza moimi pięknymi zaletami cechowała mnie nieznośna duma.

Prawdę rzekłszy, kiedy się dobrze zastanowię, nie wyleczyłem się z mojego niezbyt rozsądnego wstępu do Grenoble; raczej po prostu *zapomniałem* o niej. Wspaniałe wspomnienia Włoch, Mediolanu zatarły wszystko.

Została mi jedynie znamienna luka w mojej znajomości ludzi i rzeczy. Wszystkie szczegóły, które stanowią życie Chryzala w *Szkole żon*<sup>35</sup>:

Prócz grubego Plutarcha, w którym me rabaty  
Prasuję...

---

<sup>34</sup> *istny cesarz Mikołaj i Warszawa* – Aluzja do spotkania Mikołaja I z notablami zaboru rosyjskiego w październiku 1835 r., kiedy to car oznajmił, że po to nakazał budowę Cytadeli, by utrzymać w ryzach Warszawę. [przypis redakcyjny]

<sup>35</sup> *życie Chryzala w „Szkole żon”* – Lapsus: w *Uczonych białogłowych* (akt II, sc. 7). [przypis redakcyjny]

przejmują mnie wstrętem... Jeżeli wolno mi użyć obrazu *równie wstrętnego jak moje wrażenie*, jest to niby zapach ostryg dla człowieka, który przeszedł straszliwą niestrawność po ostrygach.

Wszystkie fakty, które tworzą życie Chryzala, zastąpiła u mnie romantyczność. Sądzę, że ta plama na moim teleskopie była użyteczna dla bohaterów moich romansów: jest rodzaj mieszczańskiej płaskości, do której nie są zdolni; dla autora to byłoby tyle co mówić *po chińsku*, czego nie umie. To słowo „mieszczańska płaskość” wyraża jedynie odcień; to będzie może bardzo niezrozumiałe w roku 1880. Dzięki gazetom typ prowincjonalnego mieszczaucha staje się rzadki; nie ma już prawie *obyczajów kastowych*. Młody fircyk paryski, którego spotykałem w bardzo wesołym towarzystwie, był bardzo dobrze ubrany, niewymuszony i wydawał 8000 czy 10 000 franków. Pewnego dnia spytałem: „Co on robi?” – „To bardzo wzięty adwokat” – odpowiedziano mi.

Przytoczę zatem jako przykład płaskości mieszczańskiej styl mego zacnego przyjaciela, pana Fauriel (z Instytutu), w jego wybornym *Życiu Dantego*, drukowanym w 1834 w „Revue de Paris”. Ale, ach! czymże będą te rzeczy w roku 1880? Jakiś utalentowany człowiek umiejący dobrze pisać przywłaszczy sobie głębokie badania zacnego Fauriela i prace tego poczciwego, sumiennego tępasa będą zupełnie zapomniane. Był najprzystojniejszym mężczyzną w Paryżu. Pani Condorcet (Zofia Grouchy), wielka koneserka, zagarnęła go sobie; Fauriel

był tak głupi, że ją pokochał, ona zaś, umierając około roku 1820, zdaje mi się, zostawiła mu 1200 franków renty jak lokajowi! Był tym głęboko upokorzony. Powiedziałem mu (wówczas kiedy mi dał jakieś dziesięć stronic do mojej *Miłości*, historie arabskie): „Kiedy ma się do czynienia z księżniczką albo z kobietą zbyt bogatą, trzeba ją bić, inaczej miłość gaśnie”. To powiedzenie przejęło go zgrozą; powtórzył je z pewnością pannie Clarke, zbudowanej jak znak zapytania, jak Pope. To sprawiło, że wkrótce potem kazała mnie połączyć jakiemuś dudkowi ze swoich przyjaciół (Augustyn Thierry, członek Instytutu), za czym posłałem ją w diabły. Była w tym towarzystwie ładna kobieta, pani Belloc, ale ta romansowała z innym znakiem zapytania, czarnym i haczykowatym, panną de Montgolfier; i doprawdy przyznaję rację tym biednym kobietom.

# Rozdział X

## *Pan Durand*

Nie pamiętam absolutnie, w jaki sposób wyzwoliłem się spod tyranii księdza Raillane. Ten łajdak powinien być ze mnie zrobić doskonałego jezuitę, godnego następcę mego ojca, lub też plugawego żołdaka, dziwkarza i knajpiarza. Temperament mój byłby, jak u Fieldinga, absolutnie przesłonił plugastwo. Byłbym tedy jedną lub drugą z owych sympatycznych figur, gdyby nie przekochany dziadek, który bezwiednie udzielił mi swego kultu Horacego, Sofoklesa, Eurypidesa i wykwintnej literatury. Szczęściem, gardził wszystkimi dwornymi pisarzami współczesnymi, nie zatruto mnie tedy Marmontelem, Doratem i innym świństwem. Nie wiem czemu, zaznaczał on na każdym kroku swój szacunek dla księży, którzy w istocie budzili w nim wstręt jak coś niechlujnego. Widząc ich zadomowionych w swoim salonie przez córkę swoją, Serafię, i przez mego ojca, był dla nich bardzo grzeczny, jak dla wszystkich. Aby mówić o czymś, mówił o literaturze, na przykład o pisarzach duchownych, mimo że ich nie lubił. Ale ten człowiek tak grzeczny z największym trudem mógł ukryć głęboki wstręt, jaki budziła w nim ich ciemnota. „Jak to, nie znają nawet księdza Fleury, swego historyka!” Usłyszałem jednego dnia ten wykrzyknik, który pomnożył moje zaufanie do dziadka.

Odkryłem rychło potem, że dziadek spowiadał się nader

rzadko. Był raczej bardzo grzeczny wobec religii niż wierzący. Byłby dewotem, gdyby mógł uwierzyć, że odnajdzie w niebie córkę swoją Henrykę (książkę de Broglie powiadała: „Mam uczucie, że córka moja jest w Ameryce”), ale był tylko smutny i milczący. Z chwilą gdy ktoś przyszedł, przez grzeczność mówił i opowiadał anegdotki.

Może ksiądz Raillane zmuszony był się kryć, nie chcąc zaprzysiąc cywilnej konstytucji kleru. Jak bądź się rzeczy miały, zniknięcie jego było dla mnie wydarzeniem największej wagi, a nic z tego nie pamiętam.

Oto ułomność mojej pamięci, czego mam wiele przykładów od owych trzech lat, kiedy na terasie San Pietro in Montorio (Janiculum) przysłała mi wspaniała myśl, że dochodzę pięćdziesiątki i że byłby czas myśleć o odjeździe, przedtem zaś sprawić sobie wielką przyjemność popatrzenia chwilę wstecz. Nie pamiętam nic z epok lub momentów, w których czułem zbyt żywo. Jedną z przyczyn, dla których uważam się za odważnego, jest to, że przypominam sobie zupełnie ściśle najdrobniejsze okoliczności pojedynków, jakie miałem. W wojsku, kiedy deszcz padał i kiedy maszerowałem w błocie, odwaga ta była ledwo wystarczająca; ale kiedy nie przemokłem poprzedniej nocy i kiedy koń nie ślizgał się pod mną, najryzykowniejsza śmiałość była dla mnie, dosłownie, prawdziwą przyjemnością. Moi rozsądni koledzy robili się poważni i bladzi albo, przeciwnie, bardzo czerwoni: Mathis stawał się weselszy, a Farine rozsądniejszy. To tak jak obecnie:

nie myślę nigdy o możliwości *of wanting of a thousand franc*<sup>36</sup>, co mi się zdaje wszakże dominującą ideą, główną myślą przyjaciół w moim wieku, posiadających dobrobyt, od którego ja jestem daleko (na przykład panowie Besan[çon], Colomb etc.). Ale schodzę na manowce. Wielką trudnością pisania tego pamiętnika jest to, że mam i mogę spisać wiernie jedynie wspomnienia odnoszące się do epoki, którą trzymam niejako za włosy; na przykład chodzi teraz o czasy, oczywiście mniej nieszczęśliwe, które spędziłem pod panem Durand.

Był to człowiek może czterdziestopięcioletni, gruby i okrągły we wszelkim rozumieniu. Miał dużego, osiemnastoletniego syna, bardzo miłego, którego podziwiałem z daleka i który później, zdaje mi się, kochał się w mojej siostrze. Ten pan Durand nie miał w sobie nic z jezuity; co więcej, był grzeczny, ubrany możliwie najskromniej, ale zawsze schludnie. Po prawdzie nie umiał ani słowa po łacinie, ale ja nie umiałem także: nie była to rzecz, o którą moglibyśmy się poróżnić.

Umiałem na pamięć *Selectae e profanis*, a zwłaszcza historię o Androklesie i jego lwie; umiałem też Stary Testament, może trochę z Wergilego i Korneliusza Neposa. Ale gdyby mi przesłano wypisany po łacinie urlop tygodniowy, nie zrozumiałbym nic. Nieszczęsna łacina pisana przez współczesnych (*De Viris illustribus*, mówiące o Romulusie, którego bardzo wielbiłem) była dla mnie niezrozumiała. Otóż

---

<sup>36</sup> *of wanting of a thousand franc* – że mógłbym potrzebować tysiąca franków.  
[przypis redakcyjny]

z panem Durand było tak samo; umiał na pamięć autorów, których wykładał od dwudziestu lat, ale kiedy dziadek spróbował parę razy poradzić się go o jakieś trudne miejsce w Horacym nieobjaśnione przez pana Jean Bond (rozkoszowałem się tym słowem: w tym bezmiarze nudy cóż to była za uciecha pośmiać się z *jambon*<sup>37</sup>), pan Durand nie rozumiał nawet, o co chodzi.

Tak więc metoda była opłakana; gdybym zechciał, nauczyłbym łaciny w półtora roku chłopca przeciętnych zdolności. Ale czy to było nic gryźć tę wściekłą łacinę dwie godziny rano i trzy godziny wieczór? To wielkie pytanie. (Okolo roku 1819 nauczyłem angielskiego w dwadzieścia sześć dni pana Antonio Clerichetti z Mediolanu, który męczył się ze skąpym ojcem. Trzydziestego dnia *sprzedał* księgarzowi swój przekład badania księżnej Walii (Karoliny Brunszwickiej), wielkiej k... y, której jej mąż, król i mający do wydania miliony, nie mógł dowieść, że zrobiła go tym, czym jest dziewięćdziesięciu pięciu mężów na stu<sup>38</sup>.

Zatem absolutnie nie pamiętam wydarzenia, które mnie rozdzieliło z księdzem Raillane.

Po mękach każdej godziny, owocu tyranii tego niegodziwego

---

<sup>37</sup> *Jambon* (...) *jambon* (fr.) – jambon (szynka) wymawia się podobnie jak: Jean Bond. [przypis redakcyjny]

<sup>38</sup> *zrobiła go tym, czym jest dziewięćdziesięciu pięciu mężów na stu* – Karolina Brunszwicka, znana ze swobodnych obyczajów żona księcia Walii, od 1820 r. Jerzego IV króla Anglii, z chwilą objęcia przezeń władzy zaczęła dochodzić swych praw do tronu i głośny ów proces wygrała, lecz niedopuszczona do koronacji wkrótce zmarła. [przypis autorski]

jezuity, widzę się nagle u mego kochanego dziadka, sypiam w gabinecie w kształcie trapezu przylegającym do jego sypialni i biorę lekcje łaciny od poczciwego Durand, który przychodził, o ile mi się zdaje, dwa razy dziennie, od dziesiątej do jedenastej i od drugiej do trzeciej. Moja rodzina przestrzegająca zawsze ściśle zasady, aby mi nie dozwalać zetknięcia „z dziećmi z gminu”. Ale lekcje z panem Durand odbywały się w obecności mego kochanego dziadka, w zimie w jego sypialni w punkcie M, w lecie w wielkim salonie koło terasy, w M', czasami w M'', przedpokoju, przez który się prawie nigdy nie przechodziło.

Wspomnienie tyranii Raillane'a przejmowało mnie grozą aż do roku 1814; w tej epoce w przybliżeniu straciłem je z pamięci; wydarzenia Restauracji pochłonęły całą moją zgrozę i moje obrzydzenie. Jedynie te ostatnie uczucia budzą we mnie wspomnienia pana Durand w *domu*; cierpiałem bowiem jego lekcje także i w Szkole Centralnej, ale wtedy byłem szczęśliwy, przynajmniej w porównaniu: zaczynałem być wrażliwy na piękny krajobraz, na widok wzgórz Eybens i Échirolles, piękną łąkę angielską przy bramie Bonne, na którą wychodziło okno mojej klasy, szczęściem położonej na trzecim piętrze; to mi wynagradzało wszystkie przykrości.

Zdaje się, że w zimie pan Durand przychodził do mnie na lekcję od siódmej do ósmej wieczór. Widzę się przynajmniej nad małym stolikiem oświetlonym łożówką, pan Durand siedzi w kręgu rodziny skupionej dokoła kominka w pokoju dziadka, ale jednocześnie zwrócony jest w prawo, twarzą do stolika, przy

którym ja, H., siedzę<sup>39</sup>.

Tam to pan Durand zaczął czytać ze mną *Metamorfozy* Owidiusza. Widzę go jeszcze, zarówno jak żółty lub bukszpanowy kolor okładki tej książki. Zdaje mi się, że z przyczyny zbyt wesołej treści przyszło do żywej dyskusji między ciotką Serafią, wścieklejszą wówczas niż kiedykolwiek, i jej ojcem. Przez kult literatury pięknej stawił jej czoło i w miejsce ponurych okropności Starego Testamentu czytałem o amorach Pyrama i Tysbe, a zwłaszcza, o Dafne zmienionej w drzewo laurowe. Ta powiastka ubawiła mnie szalenie. Pierwszy raz w życiu zrozumiałem, że można znaleźć przyjemność w łacinie, która była moją męczarnią od tylu lat.

Ale tutaj chronologia tej ważnej historii pyta: od ilu lat?

Doprawdy nie mam pojęcia. Zacząłem łacinę w siódmym roku, w 1790. Zdaje mi się, że VII rok Republiki to rok 1799 – a to z powodu rebusu:

*Lancette*

*Laitue*

*Rat*<sup>40</sup>

wywieszonego w Ogrodzie Luksemburskim w związku z Dyrektoriatem.

---

<sup>39</sup> *stolika, przy którym ja, H., siedzę* – odniesienie do szkicu umieszczonego w źródle. [przypis edytorski]

<sup>40</sup> *Lancette, Laitue, Rat* (fr.) – Dosłownie: lancet, sałata, szczur. Rebus oparty na grze słów, gdyż można to przeczytać jako zdanie *l'an sept le tuera*: rok VII go (czyli Dyrektoriata) zabije. [przypis redakcyjny]

Zdaje mi się, że w V roku Republiki byłem w Szkole Centralnej.

Byłem tam od roku, zajmowaliśmy bowiem wielką salę matematyczną na pierwszym piętrze w momencie zamordowania Roberjota w Rastatt<sup>41</sup>. Zatem może w roku 1794 tłumaczyłem *Metamorfozy* Owidiusza. Dziadek pozwalał mi niekiedy czytać przekład pana Dubois-Fontanelle, mego późniejszego profesora.

Zdaje mi się, że śmierć Ludwika XVI – 21 stycznia 1793 – zaszła w czasie tyranii księdza Raillane. Rzecz ucieszna i w którą potomność z trudem uwierzy, moja rodzina, mieszczańska, ale ocierająca się w swoim mniemaniu o szlachectwo, ojciec mój zwłaszcza, który uważał się za zrujnowanego szlachcica – wszyscy śledzili proces króla, czytali wszystkie dzienniki, tak jakby chodziło o proces bliskiego przyjaciela lub krewniaka.

Przyszła wieść o skazaniu; rodzina moja była w zupełnej rozpacz. „Ale oni nigdy nie ośmielą się wykonać tego haniebnego wyroku” – powiadali. „Czemu nie – myślałem – jeżeli zdradził?”

Byłem w gabinecie ojca przy ulicy des Vieux-Jésuites, około siódmej wieczór, w ciemną noc; czytałem przy lampie, oddzielony od ojca wielkim stołem. Udawałem, że pracuję, ale czytałem *Pamiętniki szlachcica* księdza Prévost, którego egzemplarz, mocno zniszczony przez czas, znalazłem. Wtem

---

<sup>41</sup> w momencie zamordowania Roberjota w Rastatt – Tzn. w kwietniu 1799 r., kiedy to na kongresie pokojowym w Rastatt doszło do sprowokowanego przez Austrię zamordowania dwóch posłów francuskich. [zrypis redakcyjny]

rozległ się turkot kurierskiej poczty przybywającej z Lyonu i z Paryża.

– Muszę dowiedzieć się, co te potwory zrobiły – rzekł ojciec, wstając.

„Mam nadzieję, że zdrajcę stracono” – pomyślałem. Potem zastanowiłem się nad krańcową różnicą uczuć moich a mego ojca. Kochałem czule nasze pułki, które widziałem przeciągające przez plac Grenette z okien dziadka; wyobrażałem sobie, że król chce sprawić, aby były pobite przez Austriaków. (Widać z tego, że, mimo iż miałem ledwie dziesięć lat, nie byłem daleki od prawdy). Ale przyznam się, że wystarczyłoby przejęcie losem Ludwika XVI, jakie okazywał wielki wikariusz Rey i inni księża, przyjaciele rodziny, aby kazać mi pragnąć jego śmierci. Uważałem wówczas, na podstawie piosenki, którą śpiewałem, kiedy się nie obawiał, że mnie usłyszy ojciec lub ciotka Serafia, że *absolutnym obowiązkiem* jest umrzeć za ojczyznę, gdy trzeba. Czymże było życie zdrajcy, który za pomocą tajemnego listu mógł wytracić jeden z tych pięknych pułków, które widziałem ciągnące przez plac Grenette? Rozsądzałem sprawę między moją rodziną a mną, kiedy ojciec wrócił. Widzę go jeszcze w białym flanelowym kubraku, którego nie zdjął, wychodząc na pocztę, o dwa kroki od domu.

# Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.